Nr. 52. Poznań, dnia 29 Grudnia 1907 r. Rok XI.

Abonament wynosi kwartalnie: na poczcie. . . 1,50 z odnoszeniem do domu . . 1,62 pod opaską . . 2,75

PRACA

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38. Telefon Nr. 1465. Ogłoszenia: od wiersza drobnego 30 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.



NOWY ROK.

Witaj zdrowy, roku nowy
Nowej pracy dniu.
Choć nie zdejmiesz troski z głowy,
Nie przysporzysz snu,
Choć się człowiek nie dopyta
W nowe gody te,
Czy mu na chleb starczy żyta,
Czy go minie złe;
Choć nie będzie lżej bić młotem,
Ani ciągnąć pił,
Chociaż musi krwawym potem
Spotnieć — aby żył,
Przecież sercu jego miło
Witać nowy rok,
I w świat Boży z nową siłą
Podnieść jasny wzrok.
Bo jest w piersiach u człowieka
Taka dziwna moc,
Że z nadzieją słońca czeka,
Choć na ziemi noc....
Bo w nim żyje siła taka,
Taki pęd w nim tkwi,
Że się zrywa lotem ptaka
Do jutrzejszych dni.
Hej! niech życzy -- kto życzliwy!
Uścišnijmy dłoń....
Jedność bratnia, skarb prawdziwy,
Tego skarbu broń!
Jak się człowiek po gromadzie
Spojrzy w ciężki czas,
To na sercu rękę kładzie:
Jeszcze kupa nas!

Marya Konopnicka.

U progu Nowego Roku.

Stary rok, rok klęski i niepowodzeń, chyli się do grobu, przechodzi do historyi. Na widnokręgu dziejowym wschodzą zorze, zwiastujące przyjście nowej, nieznanej, niezbadanej przestrzeni czasu.

Rok Nowy się rodzi.

Myśl ludzka chciałaby przedrzeć się przez tajemnicze zasłony, zakrywające przyszłość zazdrosną, wniknąć w jej tajniki, odgadnąć jej prawdziwą twarz, majaczącą przez mgły zwodnicze. Niepokój kładzie nam na usta palące pytanie: cóż niesie nam ten Nowy Rok? a złowrogie echa, płynące z co tylko przebytej przestrzeni, posępną dają odpowiedź.

Stary rok, rok fatalny, ponure cienie rzuca w przyszłość złowieszczą. Co on zgotował, przyszłość wypełnić musi do ostatka. Tak chce niezmienne prawo, twarde i nieubłagane, jak śmierć i mocne, jak ona.

Wiemy, co zdziałał rok stary.

Widzieliśmy go, jak drżał w przeczuciu wielkich kataklizmów politycznych, jak łączył w sojusze rozmaite narody świata, widzieliśmy go, jak przyznawał i odbierał narodom prawa gorąco pożądane, jak rozlewał krew i łzy, jak wzmacniał i osłabiał podwaliny państw, jak formował rozkład sił politycznych świata, jak łagodził stare waśnie a wzniecał nowe. Widzieliśmy też, co zrobił z nami. Pozwolił nam pogłębić ruch narodowy na Śląsku, stłumił do reszty strejk szkolny i przyniósł nam mnóstwo udręczeń. W Galicyi przeobraził rozkład sił politycznych, oby tylko na korzyść! Na pożegnanie rzucił nam w Prusach wywłaszczenie i niepokój o prawa języka ojczystego w życiu publicznem, a w Królestwie, gdzie unicestwił wpływ Polaków w Dumie, jak stał nad kolebką Macierzy Szkolnej, tak znalazł się nad jej grobem.

Był to wielki, doniosły rok. Dla nas więcej, jak dla któregokolwiek innego narodu. To też my z większem od innych naprężeniem patrzymy w przyszłość zasnutą mgłami, płynącą ku nam z niezmierzonego przestworza czasu.

A jednak, jak każdy człowiek poszczególny w gruncie rzeczy sam jest kowalem swojej doli lub niedoli, tak i los narodów przedewszystkiem w własnych narodu rękach spoczywa.

Gdzie naród zna swe obowiązki względem siebie i Boga, gdzie żyje silne i konsekwentne pożądanie swoich praw, gdzie duch nie pełza po nizinach życia, lecz potrafi szybować wysoko po nad przypadłościami chwili, obejmować szerokie widnokręgi i działać na daleką metę rozumnemi i odpowiedniemi środkami, gdzie jest wielka miłość do wszystkiego, co swojskie i ta miłość, a nie nienawiść do wroga, podnieca do stałej i konsekwentnej obrony, tam nie potrzebuje być lęku o ostateczne wyniki walki.

W walce, jak w życiu. Raz się jest na wozie, to znów pod wozem. Ale, jak człowiek pracujący uczciwie i z zapałem, z wiarą o siebie i Boga, nareszcie do bezpiecznej przybija przystani i pod wieczór życia z dumą przelicza owoce swej pracy, tak samo i naród mimo chwilowych niepowodzeń, mimo strat, upadków, zawodów, na koniec, gdy przyjdzie wyciągnąć bilans zysków i strat, pozna, że warto było działać i walczyć, gdyż strona, wykazująca zyski, przeważyła ciężar strat.

Złowrogi, smutny nowy rok przed nami się otwiera. Czekają nas przykre, bolesne przejścia. Niejedna ciężka łza spłynie z naszych oczu, nie raz się zachwiejemy, nie raz czarne nas ogarną myśli. Lecz wszystko to — to nieodzowne towarzysze walki. Gdzie człowiek, któryby nigdy nie był wątpił, nigdy czarnym nie uległ przeczuciom, nigdy się nie zachwiał, a nawet nie upadł? A jednak — jeżeli całym był człowiekiem — znów porwał się na nogi, znów zabrał się do pracy i dzieła i wytężał wszystkie siły ducha, umysłu i charakteru i nareszcie zwyciężył przeciwieństwa.

Dla chcącego nic nie ma trudnego. Tak i naród nasz, który chce żyć i zwyciężać, żyć i zwyciężać będzie. Przeciwieństwa są solą i pieprzem życia, one smaczną czynią potrawę życia, lubo prawdą jest, że zbytek soli i pieprzu najlepszą psuje potrawę. To też my sami nie dosypujmy goryczy do potraw, które spożywać mamy i słodźmy je o ile możności. Bądźmy zgodni i kochajmy się nawzajem, popierajmy się, dopomagajmy sobie, nie podsycajmy też przez niemądre czyny i słowa nieszczęsnego ognia, który nas piecze.

Nowy rok się zbliża. Nie w naszej mocy powstrzymać jego przyjście. Wstąpić weń trzeba z otuchą i wiarą, i z silnem postanowieniem zwalczenia wszelkich przeciwieństw, jakie niesie, z podniesionem czołem należy nastawić mu piersi.

Przyszłość jest w ręku Boga. Więc nie nam odgadywać jej tajniki. Naszą jest chwila obecna. Jeżeli uczynimy to, co obecna chwila wymaga i jeżeli uczynimy to dobrze, najlepiej pracować będziemy dla przyszłości. Przyszłość bowiem będzie taką, jaką teraźniejszość przygotuje.

Główna rzecz, abyśmy cel nasz znali, a celem tym: być społeczeństwem pod każdym względem silnem i dzielnem, wiernem swemu Bogu i narodowości, posiadającem jak najwięcej swobody i jak najbardziej ludzkości użytecznem.

Do tego celu tylko jedna wiedzie droga tj. praca. Wróg, kto przeszkadza pracy. Zatem szkodliwą działalność wroga zwalczać będziemy także w nowym roku wszelkiemi moralnemi środkami.

Walkę samą jednak odróżnić należy od hałasu, który jej towarzyszy. Hałas jeszcze nigdy nigdzie nikogo nie pokonał. Służyć może najwyżej ku omyleniu walczących, którym, ponieważ słyszą wrzawę, może się wydawać, że walczą. Omyłki takie bywają fatalne w skutkach. W boju potrzebne są hasła i okrzyki bojowe. W miarę i w stosownej chwili użyte potęgują zapał, użyte nadmiernie w nieodpowiednim czasie wytwarzają harmider nieznośny i szkodliwy. Zdarza się przytem, że w ogólnem zamieszaniu przyjaciel odbiera cięgi i własna dobra sprawa cierpi.

Pamiętajmy więc i w nowym roku o tej stałej prawdzie, że tylko działaniem stoją ludzie i narody. Im silniej przeciw nam działa wróg, tem silniej należy przeciwdziałać jego zakusom. A ponieważ przemożna potęga nieprzyjacielska uderza najsilniej w narodowość naszą, boć wszystkie kolubryny, które wytacza, przeciw narodowości naszej są skierowane, więc należy czynić wszystko, co tę narodowość wzmacnia i budzi.

Nie ma zaś narodowości bez znajomości języka ojczystego, bez ukochania tego wszystkiego, co jej odrębność, jej istotę stanowi. Zatem i w nowym roku należy pilnie uczyć dziatwę po polsku, wpajać jej miłość do ojczystych zagonów, czarować jej serce pieśnią polską, umysł zbogacać wiadomościami z sławnej i wielkiej przeszłości naszej.

Wielką i słuszną dumę należy budzić w młodem pokoleniu, aby się nikt nie zarumienił, że nosi miano Polaka, lecz owszem, aby wiedział, że do

najdostojniejszych narodów świata należy.

Ostatecznie bowiem dom polski, jednostki rozstrzygną losy narodu. Cóż nam po ziemi, po handlu, przemyśle,po wszystkich dobrach świata, jeżeli by nas Polaków miało zabraknąć? Starajmy się, abyśmy żyli, aby duch polski w nas nie zamarł, a znajdzie się i dla nas ziemia. Nie lękajmy się przesadnie nowych ustaw, ale czyńmy każdy, co do nas należy. Wywłaszczenie jest ciosem, lecz nie ciosem śmiertelnym, a łatwo się może okazać uderzeniem w wodę. Miliony, które mimo naszej woli do kieszeni polskiej napłyną, będą pracować i odrzucać odsetki. Wiele jeszcze jest do zrobienia w naszych stronach i jeszcze wiele gąb wyżywią nasze ojczyste dzielnice.

Tylko nie wątpić i nie oddawać się czarnym myślom. Naród nasz ma w swem łonie niespożyte siły, niezmierzone skarby spoczywają w naszym ludzie. Lud to wielka rzecz. Tylko trzeba , aby lud ten poznał swoją ważność, aby się ocknął wszystek od Pucka do Mysłowic, aby stał się na prawdę czynnym obywatelem kraju, a nie ma tej mocy na świecie, któraby nas pokonać mogła.

Zatem w Nowym Roku weźmy się pilnie do budzenia braci obojętnych i gnuśnych i powiedzmy im, że nie w pięści, nie w gadaniu, lecz w oświacie i pracy nasza przyszłość spoczywa. Krzewmy zmysł trzeźwości, oszczędności, ofiarności, a przedewszystkiem wiarę w siebie i wielkie umiłowanie wszystkiego, co dobre i zacne, co polskie. Obowiązkowość budźmy i ducha solidarności, aby każdy wytrwał na posterunku, na jakim go Bóg postawił, a w złych czasach nie odbiegł narodowej sprawy. Żaden naród tak jak nasz nie potrzebuje prawdziwych obywateli. Ale też bodaj znajdziemy drugie społeczeństwo w świecie, któreby taką było szkołą dla charakterów, jak nasze. Nie zamykajmy oczu na niebezpieczeństwa, które nam grożą. Niewola (tj. brak wolności) upadla, zabija ducha, odbiera wiarę, czyni człowieka nieufnym i dwulicowym. Należy nam więc wszystko czynić, coby przeciwdziałało tym smutnym skutkom.

Jeżeli nie możemy od razu wywalczyć obywatelskiej wolności, starajmy się o wolność osobistą. A droga ku temu znów tylko wiedzie przez pracę i oszczędność, a ułatwia osiągnięcie celu solidarność, zrzeszanie się w związki i towarzystwa, w organizacye zarobkowe i t. d. I w nowym roku nie zaniedbujmy polityki, lecz pilniej, jak dotychczas łączmy się i organizujmy, bo brak silnych i potężnych organizacyi to wielka bolączka nasza.

Każdy z nas czuje, że źle nam w Prusach. Ale to nie tylko obcy ucisk winien. I my nie jesteśmy bez winy. Gdybyśmy naprawdę i wszyscy chcieli, aby nam było lepiej, ułatwilibyśmy sobie znacznie byt. Więc nauczmy się chcieć!

Niech Nowy Rok, którego narodziny wkrótce zwiastują nam zegary, natchnie nas dobremi postanowieniami i niech postanowienia te przerodzą się w rzeczywistość.

Oto życzenia, jakie Wam składamy, Szanowni Czytelnicy. Naszą zaś dumą będzie, jeżeli słowem naszem choć w małej części przyłożymy się do utrwalenia i wzmocnienia naszego społecznego gmachu, który rozbudowywać i upiększać Wy tylko możecie.

Szczęść Boże w zbożnej pracy i niech plon jej będzie najobfitszy w Nowym Roku!

Przegląd spraw polskich.

Z Królestwa Polskiego bardzo smutna nadeszła wiadomość. Jenerał gubernator warszawski zmoskwiczony Niemiec Skallon na czas trwania stanu wojennego rozwiązał Macierz Szkolną i nakazał zamknąć natychmiast wszystkie szkoły Macierzy.

Straszny to cios dla naszego narodu. Aby czytelnicy lepiej zrozumieli, jaką to krzywdę wyrządził nam wielkorządca warszawski, przytaczamy za gazetami warszawskiemi bliższe szczegóły dotyczące błogiej działalności Macierzy Szkolnej.

Polska Macierz szkolna w dniu 1 lipca r. b. liczyła 116,341 członków, należących do 781 kół, rozsianych po całym kraju. Ofiarność publiczna na cele kół i zarządu głównego łącznie dosięgała w roku minionym sumy 810,673 rubli, nie licząc nieruchomości i placów pod budowę szkół, ofiarowanych poszczególnym kołom.

Szkół dozwolonych przez władze i posiadających zatwierdzonych nauczycieli było w dniu 1 lipca r. b. 141, niezależnie od szkół, zatwierdzonych na imię osób trzecich, a utrzymywanych i popieranych przez Macierz.

W liczbie wyżej wymienionych 141 uczelni znajdowały się szkoły średnie, założone przez koła miejscowe w Pułtusku i Łęczycy.

Nadto koło płockie subwencyonowało 8-klasowe gimnazyum płockie z liczbą 467 uczniów, koło siedleckie szkołę podlaską w Siedlcach, liczącą 320 uczniów, koło wieluńskie szkołę 4-klasową w Wieluniu i koło sieradzkie szkołę 4-klasową w Sieradzu.

Wiele kół zajęło się założeniem Domów ludowych w celu pomieszczenia oprócz biura koła, czytelń, sal zebrań, biblioteki, ewentualnie sklepów spożywczych, sal zajęć i t. p. Domy takie powstały w wielu miejscowościach.

W ciągu roku ubiegłego założono 327 ochronek, 505 bibliotek i czytelń, zorganizowano znaczną liczbę kursów dla analfabetów, oraz cały szereg odczytów i pogadanek z różnych dziedzin wiedzy.

We wszystkich tych instytucyach Macierzy, które nadesłały zarządowi głównemu przed 1 lipca r. b. wykazy działalności za rok ubiegły, pobierały naukę 63 tysiące osób, korzystało z ochronek 14,401 dzieci, a z czytelń i bibliotek 400,544 osoby.

Takie to owoce kulturne w tak krótkim czasie wydała instytucya stworzona groszem ofiarnym.

Jednakże nie wszelka nadzieja pogrzebana. W nr. 344 „Słowa“ znajdujemy artykuł, z którego należy przytoczyć następujące zdania:

„Mamy nadzieję, że z istniejących szkół Macierzy, z dniem wczorajszym zamkniętych, *prawie wszystkie będzie można zachować i nadal, postarawszy się dla nich o inny tytuł prawny istnienia.* Są instytucye i stowarzyszenia, które mają prawo zakładania szkół, o nie oprzeć się można tam, gdzie uzyskanie pozwolenia założenia szkoły na imię jednostki jakiekolwiek przedstawia trudności.

Wobec powołanych już słów w postanowieniu generał gubernatora, mamy nadzieję, że władze nietylko nie będą stawiały trudności, lecz będą czyniły wszelkie ułatwienia w utrzymaniu istniejących szkół. „Postanowienie“ wymienia szczegółowo przyczyny, dla których zamknięcie *instytucyi* Macierzy uznano za właściwe, ale nie może chyba leżeć w interesie rządu u kogokolwiek, mianowicie zaś u szerokich mas ludowych utrwalać wrażenia, *że cios wymierzony jest w ich oświecanie.*

Więc też, jak z jednej strony jesteśmy pewni, że dotychczasowi kierownicy Macierzy, z p. Osuchowskim na czele, dołożą wszelkich starań, aby

umożebnić dalsze istnienie szkół i innych zakładów przez Macierz w interesie oświaty do życia powołanych, tak z drugiej nie wątpimy, że usiłowania te nie natrafią na przeszkody u władz, że mianowicie i to one uwzględnią, iż poważnego aparatu, jaki stworzyła Macierz, z dnia na dzień, bez ogólnej szkody, zwinąć nie można‘‘.

Najbliższa przyszłość wykaże, czy prawda, że jen. Skałłon godził tylko w *instytucyę* Macierzy szkolnej, którą pomawiał o „podniecanie wśród ludu ducha ciasnej wyłączności narodowej‘‘ i zarzucał, że uwydatniają się w niej dążenia „skierowane do wyparcia ze składu stowarzyszenia najspokojniejszych jego działaczów i do skoncentrowania kierownictwa instytucyi w rękach separatystów polskich‘‘. Czy też po prostu *oświaty nie życzy p. Skałłon ludowi*. Czekajmy cierpliwie.

Henryk Sienkiewicz, sławny w całym świecie twórca Trylogii, Quo Vadis, Krzyżaków i wielu innych niezrównanych dzieł, porozsełał do wielu uczonych, polityków i artystów rozmaitych narodowości, zapytanie, co sądzą o wywłaszczeniu Polaków w Prusach. Społeczeństwo nasze winno szczerą wdzięczność znakomitemu pisarzowi,gdyż dzięki jemu dowie się naród niemiecki a i rząd pruski, co o tej sprawie sądzą najwybitniejsi ludzie w Europie. I jeżeli się nie należy łudzić, że rząd pruski cofnie z tego powodu swe przedłożenie, to jednak przypuścić można, że będzie oględnym przy wykonywaniu tej ustawy. Jest bowiem rzeczą ludzką, że inaczej wykonuje się ustawę, której towarzyszy współczucie świata, a inaczej, jeżeli się wie, iż wywołuje ona powszechne poruszenie. Dla historyi kultury ogólno-ludzkiej ankieta Sienkiewicza będzie bardzo ważną, gdyż wykaże dosadnio, jak współcześni, i to kwiat rozmaitych narodów, osądzali ustawę, którą rozmaici niemieccy politycy i parlamentarzyści usiłują przedstawić, jako czyn kulturny. Przy tej sposobności pokaże się prawdopodobnie, że o kulturze inne panują pojęcia w ucywilizowanej Europie niż w Prusach, o ile one są hakatystyczne. Sądzimy, że ankieta Sienkiewicza nie podniesie chwały Prus w świecie. Hakatyści może znów podniosą larum z powodu „polskiej intrygi‘‘. Trudno. Nie można od Sienkiewicza żądać zbytnich względów na renomę pruskiego państwa. A hakatystom należy odpowiedzieć: **nie trzeba było gardłować za wywłaszczeniem, to nie byłoby ankiety i wstydu.**

Również nie od rzeczy będzie zanotować, że **agitacya przeciwko towarom niemieckim** w innych zaborach wciąż się wzmaga. Nie przywiązujemy do tego objawu szczególniejszej wagi, gdyż zbyt dobrze wiemy, że tanią tandetę niemiecką, którą żydzi wpychają ludowi polskiemu tak w Króestwie jak w Galicyi, trudno będzie zastąpić. W każdym razie ruch ten nie przysporzy handlowi niemieckiemu pola zbytu, a może się przyczynić do podniesienia handlu i przemysłu polskiego.

Solidarność słowiańska, jak objawiła się bardzo sympatycznie w parlamencie austryackim, gdzie za jedynym wyjątkiem prusofilskich Rusinów, zaprotestowano dosadnio przeciw nowym antypolskim ustawom w Prusach, tak i w Czechach zamanifestowała się dodatnio . W Pradze bowiem odbył się wiec, na którym przemawiali najwybitniejsi mężowie czescy, potępiając ostro nowe pruskie projekty antypolskie. Mowy, które tam wypowiedziano, nie pozostawiły żadnych wątpliwości co do stopnia oburzenia, jaki uwydatnia się u naszych pobratymców na wieść o zamachach przeciw nam skierowanych. Z Księstwa byli na wiecu i przemawiali panowie Kaźmierz Raciński i dr. Tadeusz Jaworski. Panowie ci pojechali tam z własnej inicyatywy, nie wysłani przez żadną organizacyę polską. Szczególniej o ile to dotyczy p. Jaworskiego, to podnieść z naciskiem należy. Pan dr. Jaworski nie był na wiecu jako urzędnik lub reprezentant „Straży‘‘, lecz jako sprawozdawca „Dziennika Berlińskiego‘‘.

Manifestacye antyniemieckie miały miejsce we Lwowie i Warszawie. W Lwowie oburzona młodzież, jak donoszą gazety hakatystyczne, miała spalić wizerunek cesarza Wilhelma, a w Warszawie jacyś uzbrojeni wyrostkowie urządzili napad na Klub jachtowy i powyrzucali oknem biusty cesarza Fryderyka III i Wilhelma II. Wskutek tego wezwał gubernator warszawski jen. Skałłon władze, aby zarządziły wszelkie środki ku obronie Niemców. Przed konsulatem niemieckim ustawiono wojsko.

Nie potrzeba chyba wiele słów tracić, aby wykazać, że podobne manifestacye do niczego dobrego nie prowadzą i wprawiają tylko odnośne rządy w kłopotliwe położenie, gdyż muszą się one tłumaczyć i sumitować przed Niemcami, co zawsze jest pewnego **rodzaju upokorzeniem.**

Na Górnym Śląsku, jak wiadomo, złożył ks. prob. Skowroński mandat do parlamentu, ponieważ nie otrzymał wikaryusza. Z obawą zwróciły się oczy społeczeństwa na dwóch dalszych duchownych posłów z Śląska, na ks. ks. Brandysa i Jankowskiego, którzy w podobnych pozostają warunkach. Obawy te jednak są bezpodstawne, gdyż na ostatnim wielkim wiecu polskim w Raciborzu oświadczył ks. poseł Brandys, że on i ks. Jankowski mandatu nie złożą. Postanowienie to jedynie pochwalić można ,gdyż mimo znanych powszechnie utrudnień, jakim podlegają polscy księża posłowie w dyecezyi J. E. ks. kardynała Koppa, zawsze jeszcze znajdą tyle czasu, aby pojechać do Berlina na najważniejsze głosowania. Kto będzie następcą ks. Skowrońskiego — nie wiadomo dotychczas tj. do 22-go grudnia, kiedy te słowa piszemy. Bardzo poważną siłą w parlamencie byłby według naszego zdania ks. prob. Kapica z Tychów, który ma także stałe zastępstwo w parafii, gdyż w Tychach — o ile wiemy — jest wikaryusz. Wogóle zaznaczyć należy, że według uznania poważnych polityków śląskich, należy ks. prob. Kapica do najwybitniejszych osobistości na G. Śląsku i wybór jego miałby także wielkie znaczenie w sprawie kompromisu centrowo-polskiego do przyszłych wyborów sejmowych.

O kompromisie cetrowo - polskim rozpisał się w piśmie „Der Tag‘‘ także ks. P. Feja z Górnego Śląska. O tym księdzu centrowym wspominaliśmy już na tem miejscu. Należy on do zaciętych przeciwników kompromisu i oczywiście jest także wielkim wrogiem ruchu narodowego na Śląsku. Tym uczuciom i przekonaniom daje też wyraz w wspomnianym artykule. Przytem naciera na księży polskich gornośląskich, a ks. Skowrońskiego bez ceremonii nazywa „Gaponem górnośląskim.‘‘ Całe położenie polityczne na G. Śląsku przedstawia ks. Feja tak, jakoby duszą ruchu narodowego był „demagog Korfanty‘‘ i jakoby księża narodowcy występowali w roli pachołków p. Korfantego, a nawet zasady swe przeszachrowali, aby się przypodobać „demagogowi.‘‘

Tak pisze ksiądz o księżach i nie odczuwa, że przez posądzenia takie sam siebie znieważa. Zresztą przedstawia ks. Feja sprawy nieściśle. Już dawno przestał być poseł Korfanty jedynym przywódzcą narodowego ruchu. I jeżeli się księża przyłączyli do ruchu narodowego uczynili to nie dla p. Korfantego, lecz mimo p. Kor-

fantego. Nie może być zatem mowy, że chcieli się p. Korfantemu przypodobać. Również mylne jest mniemanie, że p. Korfanty stworzył ruch narodowy na Śląsku. Ruch taki nie powstaje w rok ani dwa. To każdy zrozumie. Wymaga on długiej, wytrwałej i umiejętnej pracy przygotowawczej. Praca ta odbywała się już za czasów kiedy poseł Korfanty jeszcze sam nie uświadomił sobie należycie swej polskości, a odbywała się za pomocą pism tak zasłużonych, jakiemi są „Katolik“ od lat kilkudziesięciu, a od lat kilkunastu także przez „Nowiny Raciborskie“ i „Gazetę Opolską.“ Te gazety, a przedewszystkiem, bo najrychlej, „Katolik“ uświadomiały lud pod względem narodowym. Miał więc p. Korfanty łatwą grę, bo przyszedł do gotowego; rzucił nader sympatyczne hasło, które przyjąć się musiało powszechnie, gdyż padło na glebę jaknajlepiej przez innych przygotowaną. Zresztą i walka z śląską partyą centrową nie była dla braci naszych na Śląsku niczem nowem. Toć „Katolik“ walczył z partyą centrową od lat o polskich posłów i takich też do parlamentu wysełał. Partya centrowa na Śląsku stała „Katolikiem“ i dopiero, gdy ją „Katolik“ opuścił sromotnie upadła.

Tak w krótkich słowach można uwydatnić rolę p. Korfantego na Śląsku. Zasługą jego było rzucenie hasła: wybierajmy posłów do Koła polskiego! To zaś, że to hasło wogóle mogło być rzucone, że się przyjęło — to już jest zasługą innych ludzi, a nie p. Korfantego.

To powinien wiedzieć także ks. Feja. Jeżeli to wie, nie powinien łączyć księży polskich na Śląsku specyalnie z p. Korfantym, którego nazywa „demagogiem,“ aby księży tych jeszcze bardziej pognębić.

Ostatnio zaczęły obiegać prasę wiadomości o zamiarach złożenia mandatów poselskich przez pana Korfantego. Dotychczas nic dokładnego o tem powiedzieć nie można. Może być, że poseł Korfanty nie będzie chciał w przyszłości posłować do sejmu, gdyż przed niejakim czasem napisał artykuł przeciwko podwójnym mandatom, który tylko pochwalić można. Rzecz jasna, że poseł piastujący dwa mandaty tylko z trudnością obowiązkom podoła, gdyż trudno „dwom panom służyć.“ Co zaś do złożenia mandatu do parlamentu, jaki poseł Korfanty piastuje — to może już, gdy czytelnik te słowa czytać będzie, sprawa się wyjaśni. Można mniemać, że z chwilą usunięcia się posła Korfantego z parlamentu, sprawa kompromisu polsko-centrowego na przyszłe wybory sejmowe, rzecz na Śląsku bardzo ważna, na równiejsze by weszła tory. Przez to nie ma być powiedziane, żebyśmy sobie życzyli ustąpienia posła Korfantego, jak wogóle jesteśmy przeciwni temu, aby czynić na rzecz kompromisu zasadnicze ofiary. O tem też nikt nie myśli. Kompromis jest ważny dla nas. Bez porównania ważniejszy dla centrowców. Zatem raczej centrowcy się o niego ubiegać winni. Niestety centrowcy śląscy nie odznaczali się nigdy zbytnią bystrością polityczną. Czy tym razem będzie inaczej — przyszłość wykaże.

Na Śląsku austryackim. „Czerwony Ignac“, przywódca socyalistów krakowskich, nareszcie po trzech nieudanych próbach, zdołał wkręcić się do parlamentu wiedeńskiego. Wchodzi on do parlamentu jako przedstawiciel okręgu frysztackiego na Śląsku austryackim. Wybrano tam już poprzednio posłem socyalistę Regera. Ten jednak widząc, że Ignacy Daszyński żadną miarą w Galicyi wybranym być nie może, gdyż lud polski odsunął się od niego ze wstrętem, uległ namowom Daszyńskiego i złożył mandat. Ponieważ na Śląsku austryackim w obwodzie przemysłowym dość silny jest socyalizm, nie ulegało wątpliwości, że Daszyński zwycięży polskiego kontrkandydata Henryka Burę. Na miejsce bowiem wspaniałomyślnego Regera postawił komitet socyalistyczny Daszyńskiego. Nie ufając jednak liczebności swej partyi na austryackim Śląsku, uciekł się Ignacy Daszyński do „najwyuzdańszej swawoli, najbrutalniejszych gwałtów, najhaniebniejszego teroru, nadużywanego wobec ludzi słabych, chorych, a nawet kobiet“ — tak pisze „Dz. Ciesz.“, aby tylko dojść do mandatu. Nawet Czechów wezwał na pomoc, którzy — jak wiadomo — na Śląsku ostro walczą z Polakami, i odniósł zwycięstwo. „Dz. Ciesz.“ jednakże sądzi, że w parlamencie podniesie się protest przeciwko sposobowi, w jaki Daszyński wybrany został, przeciw bezprawiom i gwałtom, jakich się dopuścił. Najęte draby socyalistyczne bowiem siłą wdzierali się na zebrania narodowców i wyprawiali burdy, aby mówców polskich nie dopuścić do głosu, pobili mnóstwo ludzi, innym grozili kijami a nawet podpaleniem, jeżeli nie będą głosowali na Daszyńskiego, a władze nic nie czyniły, aby temu wszystkiemu zapobiedz.

Oto nowa ilustracya, jak socyaliści pojmują wolność obywatelską i jak gospodarzą, gdzie porośli nieco w pierze. Precz z socyalistami!

W Galicyi we Lwowie przy akcie imatrykulacyjnym przyszło do krwawej bójki pomiędzy studentami Polakami i Rusinami. Ci ostatni dali powód i rozpoczęli burdę, gdyż nie podobało się im, że ruscy studenci rotę przysięgi musieli powtarzać w języku polskim. W taki otóż sposób siłą się wywalczyć przywileje huligani rusińscy na polskim uniwersytecie.

Zapatrują się oni zapewne na swych posłów w parlamencie, znanych z burd, jakie wyprawiają.

W Austryi zajścia lwowskie wywołały fatalne echa. Posłowie ruscy bowiem zgłosili w parlamencie wniosek o dosłowne odczytanie wpływów i licznych interpelacyi z powodu zajść na uniwersytecie lwowskim. Prezydent Weisskirchner zarządził tymczasem, ażeby interpelacye te odczytano dopiero na końcu posiedzenia.

Gdy potem chciał przejść do porządku dziennego, Rusini podnieśli ogromną wrzawę, krzyczeli, bili w pulty, a wielu z nich pulty połamało. Poseł Baczyński, zerwawszy wieko swego pultu, rzucił niem na prezydenta Weisskirchnera. Tymczasem pocisk ten zamiast prezydenta, ugodził w głowę stojącego w sali posła Benkovicza, Słoweńca, który ciężko raniony, zalany krwią, upadł na ziemię.

Wielu posłów rzuciło się ku zranionemu i wynieśli go niemal bezprzytomnego i krwią broczącego z sali. Inni rzucili się na posła Baczyńskiego i wśród burzliwych scen wyparli go z sali posiedzeń.

Prezydent Weisskirchner zarządził przerwę, wśród której w dalszym ciągu trwał ogromny hałas. We wszystkich stronnictwach zapanowało wielkie oburzenie na posłów ruskich.

Im więcej cierni, tem wspanialsza z nich będzie korona. Im więcej przeszkód i przeciwieństw, tem więcej tryumfów i tem większa na potem zasługa i chwała.

Z. Kaczkowski.

* * *

Biada wiekowi, gdzie karły bez siły
Biorą się z dumą do wielkiej roboty;
Gdzie duch niewolnik, nikczemny i zgniły,
Chce dzieje kreślić i nastalać cnoty,

Wincenty Pol.

Listy od przyjaciół.

Bydgoszcz, w grudniu 1907.

Szanowna Redakcyo!

Kończy się bieżący kwartał i rok stary — wnet rozpocznie się nowy rok a z nim nowy kwartał. Czas więc odnowić przedpłatę na „Pracę“ na przyszły kwartał. Mam nadzieję, że wszyscy dotychczasowi abonenci „Pracy“ pozostaną jej nadal wiernymi. Ale to nie wystarczy!

Tę wierność i przywiązanie — do kochającego tygodnika powinni okazać w ten sposób, że namówią do zapisywania na nowy kwartał wszystkich krewnych i znajomych, którzy dotąd pomimo starań pozostali bez „Pracy“. Dla tego ja się też w **„Bydgoszczy“** *dalej postaram o* **rozpowszechnienie** *tej ulubionej „Pracy.“ W Bydgoszczy jest bardzo smutno z Polakami. Wolą „Ostdeutsche Presse“ i „Die Woche“ zapisywać, aniżeli polski tygodnik.*

Kto jednak „Pracę“ choć na jeden kwartał zaabonował ten już polubił to pismo. O tem przekonywałem się już u nowych abonentów, których do zaabonowania „Pracy“ zachęciłem.

Również na ten kwartał zjednam „Pracy“ sporo nowych czytelników, zatem proszę o nadesłanie numerów okazowych. *G. S.*

Podobnie serdecznych listów dużo odbieramy ze wszech stron. I ciągle rosnąca liczba naszych Szanownych i Kochanych czytelników wykazuje, że starania tych przychylnych nam osób bardzo są skuteczne.

Nie możemy każdemu z osobna dziękować za okazywaną nam i naszemu pismu życzliwość. Czynimy to na tem miejscu. Dziękujemy z całego serca za poparcie naszego wydawnictwa, a w zamian obiecujemy, że jak dotąd tak i nadal starać się będziemy nieść zdrową i jędrną strawę duchową naszym Przyjaciołom. Niechaj w Nowym Roku zacieśni się jeszcze węzeł przyjaźni i zaufania łączący „Pracę“ z Czytelnikami, a jesteśmy pewni, że tam, gdzie „Praca“ stanie się miłym i zaufanym przyjacielem i budzicielem ducha, tam wszystkie zakusy wrogie pójdą na marne, gdyż ducha nie zwalczy żadna przemoc.

Prosimy uprzejmie nie zapomnieć o odnowieniu przedpłaty i jeżeli możliwa — nowych nam zjednać Czytelników.

Redakcya „Pracy.“

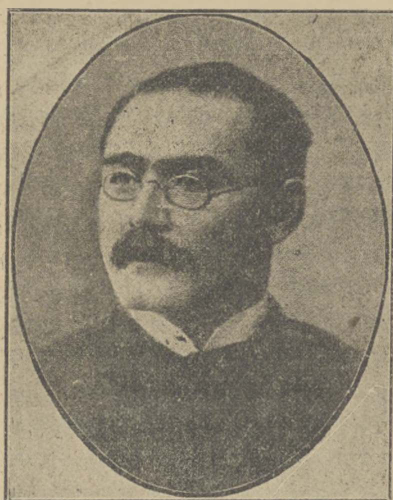
Rudyard Kipling.

Niszczyciel mikrobów.

Przekład z angielskiego.

Co pięć lat, jak wiadomo, dostaje państwo Indyjskie nowego wicekróla. Każdy zaś wicekról przywozi wraz z resztą bagażu prywatnego sekretarza, który staje się lub nie staje się — zależy to od losu — prawdziwym i rzeczywistym wicekrólem. Opatrzność bowiem musi czuwać nad Indyjskiem cesarstwem, choćby tylko dlatego, że jest tak wielkiem, a tak nieporadnem.

Razu pewnego przywiózł taki wicekról sekretarza, który posiadał bardzo gładki sposób bycia i chorobliwą na-



Rudyard Kipling,
autor powyższego opowiadania. Otrzymał tego roku nagrodę Nobla z literatury.

miętność do pracy. Nazywał się on Wonder — John Fennil Wonder. Wicekról zaś nie posiadał nazwiska — miał tylko natomiast całą litanię hrabstw i kilkanaście liter na zakończenie jej. W zaufaniu mawiał, że jest tylko pozłacaną głową złotej administracyi i z uśmiechem przyglądał się swojemu sekretarzowi, gdy ten próbował wziąć w swe ręce rzeczy, które zupełnie do niego nie należały.

— Gdy będziemy już cherubinami — rzekł raz Jego Ekscelencya — mój drogi przyjaciel Wonder niezawodnie stanie na czele jakiegoś spisku, by wyrwać piór kilka ze skrzydeł Archanioła Gabryela, lub wykraść klucze świętemu Piotrowi.

Ale chociaż wicekról nic nie czynił, by powstrzymać zapał swego podwładnego, inni jednak wcale nieprzyjemne uwagi robili i wkrótce cała Simla zgodziła się na to, iż miała trochę za wiele Wonder'a, a za mało wicekróla.

Wonder bezustannie przytaczał „Jego ekscelencyę“ i zdania „Jego Ekscelencyi“ i zapatrywania „Jego Ekscelencyi“. A Jego Ekscelencya się uśmiechał i mówił, że tak długo, jak „jego drogi, poczciwy Wonder“ kłóci się ze wszystkimi, tak długo on może pozostawić przedwieczny Wschód w spokoju.

— Żaden mądry człowiek nie prowadzi polityki — powtarzał zawsze wicekról. — Polityka jest to wyzyskiwanie durnia przez „Nieprzewidziane“. Pierwszym nie jestem, a w drugie nie wierzę.

Znaczenia tych słów nie bardzo ja rozumiem, chyba, że odnosiły się one do asekuracyi. A może chciał wicekról powiedzieć przez to, że „jakoś to będzie.“

Przybył tego sezonu do Simli jeden z tych narwańców, co to mają jedną myślą cały mózg opanowany. Tacy ludzie robią wprawdzie postęp w świecie, ale w rozmowie nie są przyjemni. Narwaniec ten nazywał się Mellish, a spędził był piętnaście lat na studyowaniu cholery w Niższym Bengalu. Utrzymywal on, że cholera, to mikrob rozmnażający się w wilgotnej a gorącej atmosferze, a osiadający na gałęziach drzew, niby płatki wełny. Mikrob ten jednak dałby się wyniszczyć za pomocą fumigacyi „niezrównanym proszkiem Mellish'a,“ który to proszek — czarniawo-fioletowego koloru — był wynikiem piętnastoletnich naukowych badań.

Wszyscy wynalazcy są mniej więcej podobni do siebie. Mówią głośno, w szczególności o „spiskach monopolistów“, biją pięścią w stół i noszą w kieszeni próbki swoich wynalazków.

Mellish był przekonanym, że wszyscy lekarze w Simli, z dyrektorem generalnym szpitali na czele, w zmowie są przeciw niemu, pragnął więc osobistej i nieuprzedzonej interwencyi wicekróla, jako „zastępcy naszej najmiłościwszej królowej“, w sprawie swego wynalazku.

Łatwiej jednak zobaczyć wice-króla, aniżeli mówić z nim. Chyba, że jest się tak ważną osobistością, jak Mellishe z Madrasu. Ten był tak wielkim człowiekiem, że córki jego nigdy nie wychodziły zamąż, tylko „zawierały alianse.“ Nie brał on gaży, tylko „zbierał swe dochody“, a podróże jego po kraju, były „obserwacyjnymi objazdami.“ Poruszał on ludność Madrasu tak, jak się długim kijem porusza ryby w sadzawce i musieli wychodzić ze starodawnych swych obyczai i wołać, wytrzeszczając oczy:

— Oto jest postęp! Oto jest światło cywilizacyi!

Następnie stawiali Mellishe'owi pomniki i obwieszali je wieńcami z jaśminu, byleby się jego pozbyć.

Mellishe przyjechał do Simli na „konferencyę“ z wicekrólem. Wicekról zaś wiedział o nim tyle tylko, że był on jednym z tych mieszczańskich bóstw, które widocznie potrzebne są do szczęścia średniej klasy i że prawdopodobnie on to był tym, który proponował, planował, fundował i wyposażał wszystkie instytucye publiczne, w Madrasie. Co dowodzi, że Jego Ekscelencya, choć marzyciel, wcale miał dokładne pojęcie o tym gatunku wielkich ludzi.

Wielki Mellishe pisał się E. Mellishe, zaś Mellish-wynalazca był E. S. Mellish, a obaj stali w tym samym hotelu. I tak Opatrzność, która czuwa nad Indyjskiem państwem, dopuściła, iżby Wonder zapomniał napisać końcowe „e,“ adresując kopertę, w którą włożył następujący liścik:

„Drogi panie Mellish! czy nie mógłbyś innych zaprosin odmówić i przyjść do nas na śniadanie jutro o drugiej po południu? Jego Ekscelencya miałby wtedy godzinę czasu, którąby chętnie panu poświęcił.“

List ten, wskutek pomyłki z końcówką, dostał się Mellish'owi od Fumigatora. Omal się nie rozpłakał z radości i dumy, i, wypchawszy kieszenie fraka torebkami, napełnionemi swoim wynalazkiem, o oznaczonej godzinie, pogalopował do pałacu. Nadeszła jego chwila, i postanowił z niej korzystać. Mellishe z Madrasu takim solennym tonem zapowiedział był swoją „konferencyę“, że Wonder zarządził zupełnie prywatne śniadańko, bez adjutantów, bez Wondera nawet, i to pomimo, iż wicekról żałośnie mówił, że boi się sam zostać z takim autokratą bez kagańca, jak wielki Mellishe z Madrasu. Gość jednak nie znudził wicekróla. Przeciwnie, ubawił go nawet. Mellish był rozgorączkowany i plótł trzy po trzy, aż do chwili, gdy podano cygara. Jego Ekscelencya zaś był uradowany, że gość jego nie mówi „fachowo“. Zaledwie cygara zapalono, wynalazca przystąpił do interesu. Zaczął od wykładu o cholerze, potem zrobił przegląd swoich piętnastoletnich naukowych badań, wyjawił intrygi zmowy lekarskiej, a przedstawił całą doniosłość i doskonałość swego Fumigatora w bardzo gorących słowach. Wicekról przyglądał mu się z pod zmrużonych powiek, i myślał: „Najwidoczniej musi to być inny jakiś tygrys, ale w każdym razie wcale oryginalna bestya.“ Mellish jednak tak się zapalił, że włosy mu dęba na głowie stanęły i zaczął się jąkać i zacinać. Nakoniec gorączkowym ruchem, wydobył papierowy woreczek z kieszeni, wysypał zawartość jego na srebrną tacę.

— O-o-os-sądź sam Panie! — zawołał. — A-a-ab-absolutnie s-s-skuteczne! — I przyłożył zapalone cygaro do proszku, który począł dymić się jak wulkan, wysyłając ogromne, miedzianego koloru kłęby dymu w górę. W pięć sekund cały pokój tak się nim zapełnił, że nie można było ani patrzeć, ani oddychać, ani nawet krztusić się, a proszek syczał i coraz to przyjemniejsze zapachy wydzielał.

— Tysiąc kubicznych stóp dymu, na kubiczny cal proszku, Wasza Ekscelencyo! Ani jeden zarodek tego nie wytrzyma! — krzyczał zachwycony Mellish, któremu Fumigator nie szkodził, bo przywykł już do niego.

Ale Jego Ekscelencya uciekł, i kaszlał na schodach, podczas gdy w całym pałacu zawrzało, jak w ulu. Czerwoni ułani wkroczyli i dowódzcy Chaprassów weszli, a panie biegały po schodach wrzeszcząc: „Pali się!“ Bo dym napełniał już cały dom, wychodził oknami, i wielkimi kłębami toczył się po ogrodzie. Nikt nie mógł dostać się do pokoju, w którym Mellish miał swój wykład, aż się proszek zupełnie wypalił.

Wówczas jeden z adjutantów, któremu bardzo chodziło o awans, wpadł, i wyciągnął wynalazcę do sieni, gdzie wicekról pokładał się od śmiechu, i mógł słabo machać rękami w stronę Mellish'a, który nowy woreczek z kieszeni dobywał.

— Wspaniale! Wspaniale! — łkał jego Ekscelencya. — Ani jeden zarodek, jak to pan słusznie zauważyłeś, nie wytrzyma tego. Mogę na to przysiądz! Cudowny wynalazek!

I znów śmiał się, aż mu łzy z oczu popłynęły. Na to nadszedł Wonder, który był tymczasem odnalazł wielkiego Mellishe'a na promenadzie, i bardzo był zgorszony tą sceną. Ale wicekról był kontent, bo wiedział, że Wonder długo nie zabawi, a i Mellish był zadowolony, bo czuł, iż znowę lekarską zniweczył.

. . . .

Mało ludzi umiało opowiadać tak dowcipnie, jak Jego Ekscelencya, gdy był w dobrem usposobieniu. To też anegdota o „przyjacielu mego poczciwego Wonder'a, i o jego proszku“ obiegła całą Simlę, i wywołała tysiąc, pozbawionych wszelkiego szacunku, uwag, które Wonder'owi życie zatruwały.

Ale Jego Ekscelencya opowiedział tę historyjkę o jeden raz za dużo — dla Wonder'a przynajmniej. Było to na Secpee-Pikniku. Wonder siedział tuż za wicekrólem.

— I naprawdę myślałem przez chwilę — rzekł ten ostatni, — że mój poczciwy, kochany Wonder wynajął mordercę, by utorować sobie drogę do tronu. Wszyscy się roześmieli, ale w tonie Jego Ekscelencyi był pewien subtelny odcień, który Wonder zrozumiał. Odkrył też wkrótce, że zdrowie jego zagrożone, i otrzymawszy od wicekróla ogniste świadectwo, którem mógł się w kraju przed wielkimi ludźmi popisywać, odjechał do domu.

— Wszystko to z mojej winy — mawiał potem Ekscelencya, mrugając jednem okiem, — tak niekonsekwentne i chwiejne usposobienie jako moje, musiało niekorzystnie wpłynąć na zdrowie tak stanowczego człowieka, jak Wonder.



Niechaj pobudzi!

Wejdźmy w głąb duszy własnej i zamordujmy w niej obojętność...

Wejdźmy w głąb duszy własnej i rozbudźmy wszystkie siły twórcze, martwiejące w bezczynie i powołajmy do życia całą moc czujności i energii wewnętrznej i całą moc rozumu, i całą moc serca...

Wszystko, co istotę, podległą bólom, czyni człowiekiem, niechaj w nas zadrga dreszczem życia...

Wszystko, co z woli dobra i sprawiedliwości płynie i to, co w uczuciu miłości płonie i to, co jest samozaparciem się i ofiarą, niechaj zapragnie w nas żyć i niechaj żyje...

Braterstwo i jedność myśli przewodniej muszą przyoblec się w ciało...

I muszą zginąć egoizmy klas, stanów i dzielnic, tworząc mierzwę pod zasiew, który swym plonem pokrzepi cały naród.

Jest tyle sił w narodzie,
jest tyle mnogo ludzi;
niechże w nie duch Twój wstąpi
*i śpiące niech pobudzi *).*

Niechaj pobudzi!...

Czarny Jegomość.

---

*) St. Wyspiański.

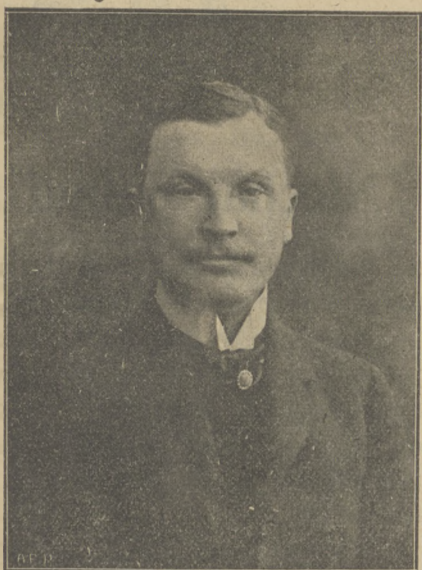
Z bieżącej chwili.

Poseł dr. Edward Trzciński.

W okręgu krotoszyńsko - koźmińskim wybrano posłem do parlamentu niemieckiego w miejsce mecenasa p. dr. Mieczkowskiego z Poznania, który złożył mandat, p. dra Trzcińskiego z Gocanówka na Kujawach. Padło na niego 7556 głosów, na Niemca zaś Hampla 2959; trzy głosy rozstrzelone. Przy wyborach głównych otrzymał dr. Mieczkowski 8687, Hampel 3625.

Rzecz naturalna, że udział głosujących był tym razem po obu stronach słabszy.

Dr. Edward Trzciński urodził się w Popowie nad Gopłem z ojca dr.



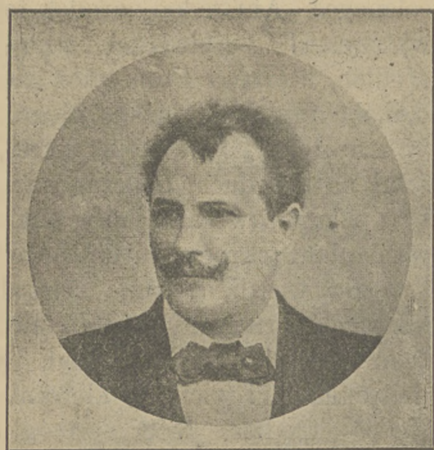
Poseł dr. Edward Trzciński.

Tadeusza Trzcińskiego i Anny z Modlińskich. Do gimnazyum uczęszczał w Poznaniu (do Maryi Magdaleny), potem w Inowrocławiu, gdzie złożył egzamin dojrzałości. Na uniwersytet wstąpił najprzód w Berlinie, potem w Monachium, słuchając nauk społecznych i agronomii. Złożywszy doktorat po napisaniu pracy „O rozwoju spółek polskich w Księstwie“, poświęcił się rolnictwu i administracyi majątku Gocanówka na Kujawach. Dr. Trzciński czynny bierze udział w rodzinnym powiecie strzelińskim w życiu społecznem, pomiędzy innemi jest wicepatronem Kółek włościańskich.

* * *

Poeta Jan Kasprowicz profesorem.

„Słowo Polskie“ dowiaduje się, że na wydziale filozoficznym uniwersytetu lwowskiego powstała myśl utworzenia katedry literatury porównawczej i powołania na nią Jana Kasprowicza. Wiadomość ta wywołała powszechną radość wśród młodzieży akademickiej. Podobno Czytelnia akademicka postanowiła wysłać niezwłocznie deputacyę do rektora dra

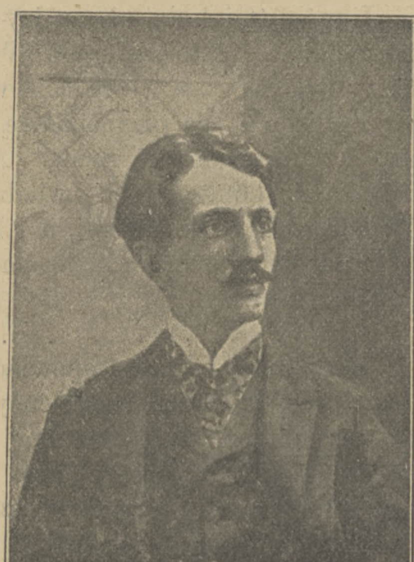


Jan Kasprowicz.

Dembińskiego i dziekana dra Kallenbacha, któraby dała wyraz temu zadowoleniu i podziękowała za postanowienie tak bardzo odpowiadające potrzebom życia umysłowego i pragnieniom młodzieży.

Poeta jest, jak wiadomo, dzieckiem ziemi wielkopolskiej. Urodził się w Szymborzu na Kujawach, gimnazyum ukończył w Poznaniu.

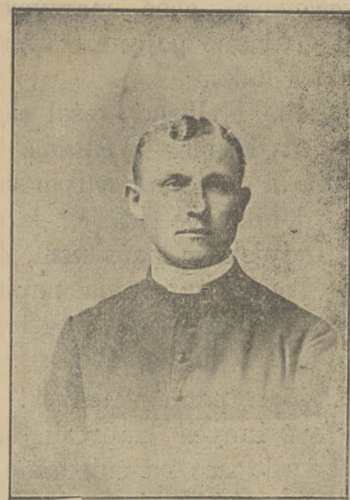
* * *



Zygmunt Kawecki, autor „Szkoły“.
(patrz artykuł „Najnowsze dzieło Z. Kaweckiego“)

Skazany kapłan.

Izba karna w Krotoszynie skazała swego czasu ks. prob. Stanisława



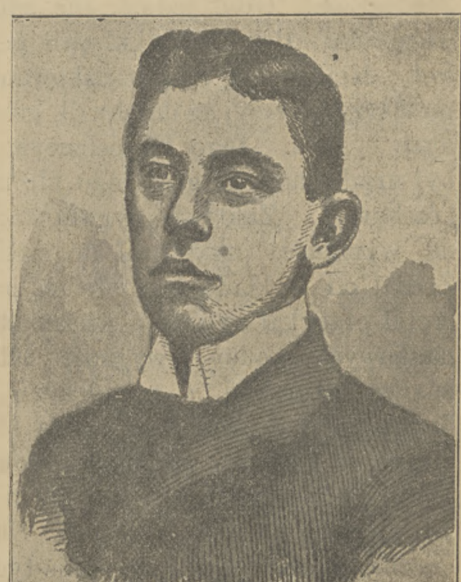
Ks. prob. Stanisław Śniatała z Dobrzycy.

Śniatalę z Dobrzycy za rozdawanie kartek strejkowych, odprawianie nabożeństwa za strejkujące dzieci itp. na 150 marek kary lub 15 dni więzienia. Ks. prob. Śniatala wniósł był atoli apelacyę do wyższej instancyi, która odesłała sprawę sądowi krotoszyńskiemu do ponownego ściślejszego zbadania. Izba karna zmniejszyła tym razem karę na 100 marek lub 10 dni więzienia.

* * *

Młodzieniec Paweł Karkut z Lubawy,

którego trzymano sześć miesięcy we więzieniu, ponieważ nie chciał przy-



Paweł Karkut.

sięgać i wydać tego, który mu dopomógł do przyjęcia wiary katolickiej. O tej sprawie pisaliśmy obszerniej w „Pracy.“ Karkut pewnie w całem życiu nie zapomni, ile to w młodych latach w Prusach wycierpieć musiał za to, że został katolikiem. — Dzielny młodzieniec, ten młody Karkut!

* * *

Ignacy Daszyński

wybrany posłem do wiedeńskiej Rady państwa w Frysztacie na Śląsku austryackim. Daszyński zwyciężył w wzmiankowanym okręgu kandydata chrześciańsko-społecznego Burę trzema czwartemi głosów oddanych.

W okręgu tym, opanowanym przez socyalistów, poseł socylistyczny złożył



Ignacy Daszyński.

mandat, by w radzie państwa ustąpić miejsca Daszyńskiemu.

Jak wiadomo, Daszyński przy ostatnich wyborach nie miał szczęścia, bo go nigdzie nie chcieli — socyaliści jednakowoż tak długo się starali, aż go znów mają w swem gronie. (Patrz: „Przegląd spraw polskich.“)

Z powodu wyboru posłem Daszyńskiego, głównego przywódcy socyalistów galicyjskich, wielka zapanowała radość między socyalistami krakowskimi, która objawiała się w sposób rozmaity, między innemi i w ten także, że urządzono owacyę i pochód demonstracyjny na cześć posła Daszyńskiego.

* * *

Gustaw V, król szwedzki.

Po zgonie króla szwedzkiego, Oskara II, wstąpił na tron syn jego najstarszy, jako Gustaw V. Nowy król szwedzki liczy lat 49, a z trzech jego synów najstarszy Gustaw Adolf, niedawno ożeniony z angielską księżniczką, ma dwuletniego synka.

Bije fala o skałę, lecz skały nie wzrusza;
W przeciwnościach szlachetna hartuje się dusza.
Ks. Biskup St. Krasiński.

W noc Sylwestra.

Urodził się niby ten kwiatek w piwnicy wątły i słaby, wychował się na twardej, na sierocej doli, co dziecka pieścić nie umie, a łzami je i piołunem hoduje. Śpiewały mu kołysanki pola zbożne, śpiewały skowronki i cały chór ptaszy, grały mu kapele żab



Oskar V, król szwedzki.

i komarów, a wiatr organista po klawiszach liściastych organów „Święty Boże“ huczał. I wyrósł z niego grajek-samouk, zasłuchany w szelesty i szmery, zapatrzony w blaski gwiazdy i dobry był i ludziom miły, niby te śpiewne modlitwy słowicze, co się jak rosa majowa nocą rozperlają — śliczne.

Aż mu i do serca zajrzała pieśń — zajrzało kochanie. I rozśpiewała się w nim dusza i serce, zaśpiewały myśli i



Królowa szwedzka Wiktorya.

dumki, jak skrzypki anielskie, jeno że nie ludzka ręka grała na tych skrzypkach serdecznych, tylko błękitne jak niebo oczy Hani

Hej! jak się ten Franek z Hanką kochali, jak się kochali — bez miary! Nieraz bywało, księżyc im w oczy zagląda, a śmieje się stary pasterz gwiazdek, bo w oczach Hanki niby raj, a w oczach Franka niebo, a między nimi śpiewanie skrzypki — serdeczne, długie tęsknoty i kochania pełne. Śmiał się staruch niebieski i mruczał:

— Daj wam Boże!... ale, to nie nowego, dosyć się ja już na to napatrzył! Aż go i gwiazdy, że to kobiety zawsze miększego serca, łając za owo gadanie poczęły, ale łysy zbereźnik śmiał się ciągle i mówił: „patrzmy końca“.

Nie darmo miesiączek stary, więc mądry — oj nie darmo!

Jak zaczęli ludzie raić, jak zaczęli odmawiać, tak i przewrócili w głowie Frankowi. Zalubiła się w nim wdowa jedna, bogaczka i nie stara jeszcze, tak i zaczęła nasyłać ludzi z radami, z obietnicami, a choć się grajek sierota opierał, toć ta ludzka siejba słów padała mu w duszę i zostawała w niej, toż i kiełkować zaczęła i dla bogactwa, dla chaty bielonej, dla dobytku i chudoby, zapomniał powoli o zapłakanych oczętach Hanki, bo mu dyabeł przysłonił ich niebo, więc jeno ziemię widział i jej uciech pragnął.

Szedł nocą, szedł cichą a mroźną, by na rano w chacie wdowy stanąć, wódki flaszę na stole postawić i zrękowiny obyczajne zrobić.

Szedł nocą, szedł cichą a mroźną, i w sercu ni żalu, ni smutku nie czuł za Hanusią, jeno tam gdzieś głęboko, na samem dnie duszy, coś maleńkiego drgało, jakby łkaniem serdecznem szarpane.

Szedł nocą, szedł cichą a mroźną, Sylwestrową nocą, w której się zawsze nowy syn Czasu odwiecznego rodzi i idzie z uśmiechem do ludzi — Rok Nowy.

* * *

Cicho było i sennie na polach. Śnieg jakoś nie padał wielki, więc co go było, to stopniało, i nawet po bruzdach nie go się nie przyczaiło. Pola były czarne i głuche, ot zwyczajnie jak w zimie, gdy się strudzona matka ziemia na sen i na wypoczynek położy. Ponuro więc było i jakby groźnie w naturze, jeno na górze perły gwiazd błyszczały, nito ziarnka różańca, na którym się nocka-piastunka Panu Bogu modli.

Nie raźno się jakoś szło Frankowi na owe zrękowiny, skrzypkę, co ją niósł pod pachą w chustkę zawiniętą, raz wraz poprawiał, a co ją poprawił, to w skrzypce jękło coś zawsze, we-

stchnęło, jakby w niej dusza śpiewana cierpiała.

On szedł i dumał.

— Nowy rok — myślał — idzie, jaki on będzie, gorszy-li czy lepszy? Ot! żeby to człek wiedział, jak zrobić, by nieszczęście od siebie odwrócić? Aleć pono ni post, ni modlitwa, ni nawet spowiedź święta człeka nie uchroni i nie masz chyba mędrka na świecie, coby jakową radę znał.

A gdy tak dumał, zaszumiały wierzby przydrożne i szepnęły: „północ".

A gdy przechodził koło krzaku tarniny, ta szepnęła: „idzie".

A gdy popatrzył po pustych, głuchych polach, zapachniała mu ziemia i szepnęła: „Nowy rok".

Franek stanął. Szły na niego teraz zewsząd szepty jakieś, jakieś szumy, jakby się ziemia modliła, jakby drzewa śpiewały: „Zdrowaś Marya".

Od wschodu niebo było jeszcze czarne, ale od tej czarności coś szło, wielkie, tajemnicze, niezbadane. Szedł Nowy rok.

— Jaki ty będziesz? — krzyknął głośno Franek, ręce ze skrzypkami ku niemu wyciągając, a w skrzypce struny drgnęły, jakby na nich ten tajemniczy duch roku usta położył i Franek usłyszał wyraźną odpowiedź:

— Dla dobrych dobry, a dla złych nieubłagany!

Franka lęk zdjął, bo takim głosem nigdy nie mówiły skrzypki, ale pytał dalej:

— A dla mnie jaki będziesz?

— Idę ja do ciebie, i co przeznaczone, nie minie cię — huczało w skrzypicy — ale z czem ty idziesz do mnie? Ja minę i przyjdą po mnie szeregi innych, a w nich będzie żniwo mojego posiewu. Więc jeśli idziesz z chciwością, za chciwość cię lata ukarzą, jeśli ze zdradą, to zdradę odpokutujesz, jeśli ze łzami ludzkiemi, to sam płakać będziesz, jeżeli z krzywdą serdeczną, serce ci krzywda rozpruje. Pamiętaj! ale gdy z dobrą wolą idziesz, tedy nie narzekaj, gdy cię ból przytłoczy, bo co we mnie posiejesz łzami, to ci inni uśmiechem oddadzą. Pamiętaj!

* * *

Otwarła Hanka łzami umęczone oczy, a tam za oknem gra coś, jakby anieli niebiescy. Frankoważ to skrzypeczka? czy nie ona? toć i tamta śpiewała jak zaczarowana, ale nie tak do serca prosto, nie tak żałośnie ni tęsknie.

Ale to Franek grał, on sam, jeno że to coś maleńkiego, co mu na samem dnie duszy trzęsło się łkaniem serdecznem szarpane, wzmogło się, zolbrzymiało, napełniło go żalem, kochaniem, tęsknotą bezmierną i błaganiem mu nastroiło skrzypki, błaganiem o przebaczenie, o umiłowanie serdeczne.

Dzień noworoczny nadciągnął, a oni rzucili weń siew dobrej, siew krwawej pracy dla siebie i drugich i poszli razem w życie ufni, że uśmiechy zbierać kiedyś będą. Bo kto cierpi, kto ucisk i niewolę czuje, niechaj w zagony lat rzuca ziarno pracy i dobrej, silnej woli, a wnuki jego w swobodzie żąć będą chlebne kłosy swobody i szczęścia.

St.



Szczęść Boże w Nowym Roku!

1908.

Wchodząc we Wasze progi w tym Roku Nowym,
Niesiem pozdrowienie najprzód Boskiem słowem:
Niechaj będzie Jezus Chrystus pochwalony!
Z przeczystej Dziewicy w stajence zrodzony.

Oby Wam maleńki Pan Jezus z powicia,
Wszystkim błogosławił w ten Nowy Rok życia!
O Bracia i Siostry rodacy kochani,
Coście i w Ojczyźnie i w świecie rozwiani.

Wam, co ojczystego nie brak jeszcze słonka,
Ojczystego nieba, ze śpiewem skowronka,
Co ojczysty zagon orzecie, siejecie,
Poszczęść i błogosław Jezu, Boże Dziecię!

I Wam też rodacy, którzy w przyszłej wiośnie
W świat za pracą i chlebem pójdziecie żałośnie...
Do swych własnych wrogów... albo i za morze,
Poszczęść, pobłogosław, Jezu, Dziecię Boże!

Szczęść, błogosław Jezu naszym polskim Matkom,
Ich pracy domowej, ich kochanym dziatkom,
Aby ich kochane i córy i syny,
Wzrastały na chlubę dla polskiej krainy...
Jontek z Bugaja.

Sen Nowego Roku.

Monotonny turkot maszyny ustał. Matka przyszywała ostatnie już falbany do sukni pani radczyni.

Oderwałem zmęczony wzrok od książki, którą czytałem przy tym turkocie i spojrzałem po pokoju. Na podłodze leżą skrawki różnych materyałów: różowy batyst delikatny wala się razem z madepolanem żółtawym, eteryczny muślin biały łączy się w uścisku z ciemnym perkalikiem, wełniane, brunatne szmatki leżą tuż obok tiulów i jedwabiów. W kącie zaś stoi manekin druciany, przystrojony w ową suknię, przy której schylona matka, z oczyma zaczerwienionemi wykończa już ostatnie szczegóły, wyciąga fastrygi, poprawia fałdy i zakładki.

Różnie już oglądałem tę lalę bez głowy: czasami pyszni się ona w strojnej sukni balowej, nazajutrz przywdziewa skromny kaftanik perkalikowy, to znów stoi obnażona, pokorna, jakby wstydziła się swej nagości drucianej. Dzisiaj wygląda bardzo ładnie w tej sukni jasno-błękitnej z trenem długim.

Manekin ten w rozmaitych swoich odmianach i postaciach ukazywał mi ludzi wszystkich warstw i stanów. Widziałem, jak wygląda wielka dama, jak ubiera się zalotnica, jak się odziewa robotnica. Czasami w myślach swych przystosowywałem do tego korpusu bezdusznego — głowę, aby sobie świat wyobrażać. Czasami w zapomnieniu chciałem porozmawiać z tą lalą, czasami wzbudzała we mnie jakieś myśli — objęcia w uścisku władczynię pięknego stroju. Zapominałem, że to tylko szkielet druciany.

Wreszcie matka powstała z ziemi, rzuciła z zadowoleniem ostatnie spojrzenie i uśmiechnęła się lekko. Przypomniały się jej zapewne czasy, gdy królowała na balach w takich samych sukniach, — czasy minione bezpowrotnie. Poczem zebrała jeszcze zgrubsza skrawki materyałów, okryła maszynę płótnem, i zabierając się przejść na spoczynek do alkierzyka przybocznego, złożyła pocałunek na mej głowie ze słowami: „jutro rok nowy, mój synu, dostanę zapłatę za tę suknię, przygotuję ci dobry obiad.“

Pozostałem sam w pracowni, w pokoju obszerniejszym, gdzie więcej powietrza i światła, bo tego wymagało moje zdrowie. Choroba coraz więcej wżerała się we mnie, zarobek mój malał coraz więcej, coraz dłużej po nocach matka musiała pracować, aby dorabiać na utrzymanie skromne.

Pozostałem sam i mimowoli pogrążyłem się w myśli o roku nowym.

Co on nam przyniesie, co on nam da? Czy przyniesie matce odpoczynek, czy mnie da zdrowie?

W tejże chwili zapewne płyną tysiące myśli, tysiące pożądań i życzeń w przestrzeń bezgraniczną. W nieskończonym biegu czasu, czasu bez początku i końca, ludzkość nawiązuje supełki, niże wieki i lata, jak paciorki na nitce bez końca. W dniu, który jutro podobny będzie zapewne do dzisiejszego, ludzie spodziewają się najrozmaitszych zmian upragnionych.

W myślach tych o Roku Nowym ukołysałem się do snu.

* * *

Śniłem.

Była noc zimowa, jasna od bladych promieni miesiąca, od białego całuna śniegu, cicha tą ciszą ziemi skostniałej odrętwionej. Pod tym pokrowcem białym zdało się, że życie zamarło na



W troskach o Dzieciątko.

wieki, że pod nim spoczywa trup, który się nigdy nie obudzi. W dali gdzieś daleko otulone w muśliny szronu, sterczały drzew szkielety, skamieniałe, nieme.

Nagle na tych polach bezbrzeżnych białych ujrzałem całe zastępy ludzi, dążących z pośpiechem...

Idą ich tysiące, miliony... Idą starzy, powłócząc nogami, idą matki prowadzące dzieci lub z niemowlętami na rękach, idzie młodzież z roziskrzonem okiem, wloką się kaleki jakieś z ranami.

Idą tysiące, miliony... Na twarzy wszystkich znać jakieś zaciekawienie, rozgorączkowanie, oczekiwanie. Jakaś myśl wspólna pcha ich wszystkich, jakieś ogólne pragnienie tłoczy ich wszystkich.

— Dokąd dążycie? — pytam.

— Idziemy prosić łaski u niego! — odpowiadają.

I śpieszą, nie chcąc się spóźnić.

Aż ziemia sczerniała pod ich nogami, aż muśliny spadły z drzew pod ich ciepłym oddechem. Idą roje, fale, całe mrowiska ludzi wysypały się na te pola... Dążyłem wraz z nimi.

* * *

Ujrzałem go, jak zamyślony siedział nowy władca świata nad księgą otwartą, do której zapisywał prośby i podania.

Cisza w powietrzu, tylko oddech piersi milionów, falujących niepokojem zlewa się w jeden potężny dech ludzkości pragnącej.

Oto występują uczeni o czole myślą zoranem i przedstawiają swe życzenie.

„Spraw, abyśmy ujrzeli nareszcie krainę prawdy i cnoty. Dość nam już błądzenia tego, dość nam fałszu, pragniemy dotrzeć do źródła życia. Pracujemy wciąż w uczelniach naszych, doświadczamy i rozbieramy w laboratorjach naszych, chcemy dotrzeć do rdzenia rzeczy. Chcemy poznać...

„Prawdy, prawdy, prawdy“ — wołali chórem, a echo wielokrotne powtórzyło ich słowa.

Po nich przystąpili inni, jacyś ludzie o twarzy wesołej, podnieconej napojem, uśmiechniętej. Ci mówili:

„Spraw, aby życie toczyło się wesoło, w kołysankach, w upojeniu winem. Niechaj pieśń huryski wtórzy nam zawsze, niechaj smutek nie zagląda do nas, niech zawsze będzie nam rozkosznie i dobrze. My chcemy bawić się, my chcemy pić, my chcemy żyć...“

„Pić, pić pić!“ powtórzyły tysiące, miliony głosów, a echo wielokrotnie poniosło gdzieś daleko ich życzenia.

Oto przystąpili znowu, kołysząc się wolno, jacyś zaspani, którym widocznie nie podobał się ten tłum i tak mówili:

„Spraw, abyśmy żyli spokojnie, w ukojeniu. Niechaj nad głowami naszemi nie huczą burze, niechaj grom nie wstrząsa nami, my chcemy przejść życie w ciszy i w uśpieniu. My chcemy spać.

„Spać, spać, spać!“ odezwały się tysiące głosów, a echo wielokrotne odbiło te wołania.

Występowali inni jeszcze, wołając chleba, inni prosili o sławę.

Występowali starcy, kaleki, dziewice i dzieci, a wszyscy prosili o spełnienie ich życzeń.

Nagle z pośród tłumu usłyszałem głos rozpaczliwy, „puśćcie mnie, puśćcie do niego!“ I ujrzałem, jak matka moja, wydobywając się spocona z tłumu rzuciła się przed nim, przed nowym władcą świata.

—Czego chcesz? — zapytał.

— Spraw, abym tyle zarobić mogła, bym memu synowi była w stanie dać codziennie posiłek.

Za nią tysiące matek to powtórzyło i echo powtórzyło: „o spraw!“

Obudziłem się rankiem ze łzami w oczach.

* * *

Nademną stała moja matka stroskana. Całowałem jej rękę, szepcąc życzenia.

Jakby w odpowiedzi podała mi różowy bilecik, jaki jej przysłała pani radczyni, na którym wyczytałem następujące słowa:

„Przepraszam bardzo, że z powodu okoliczności nieprzewidzianych, nie będę mogła dzisiaj uiścić się z zapłaty.“

„Suknia leży doskonale, za co pozostaje wdzięczną...“

Al. F.

Złote listki.

Żyjemy w epoce, w której wielka obfitość zdolności, a wielkie ubóstwo charakterów.

Kazimierz Jarochowski

* * *

Czem drzewo bez głębszych korzeni, tem duch narodu bez świadectw przeszłości.

Ks. W. Kalinka.

* * *

Najnowsze dzieło Z. Kaweckiego.

W tygodniu przedświątecznym kilkakroć wystawiono na scenie naszej najświeższe dzieło dramatyczne Zygmunta Keweckiego p. t. „Szkoła.“

Kawecki nie obcy jest publiczności naszej. Już przed trzema mniej więcej laty dawano pierwszy utwór, jaki napisał, „Dramat Kaliny.“ Sztuka wielkiem się u nas cieszyła powodzeniem. Nie było to dzieło pierwszorzędnej wartości ani artystycznej ani literackiej, ale było „nowe.“ Styl, a raczej bezsttylowość, pomysł, faktura, wszystko to odskakiwało od utartych norm. Z utworu tego przemawiało życie, pulsowała tam krew, widz udawał, że autor ma wielkie aspiracye literackie, że potrafi patrzeć na życie i je odtwarzać. Słowem należało się spodziewać po tych pierwocinach wielkich rzeczy.

Czy „Szkoła“ usprawiedliwiła te nadzieje? Nie zupełnie.

To, co widzieliśmy przez kilka wieczorów na scenie naszej nie było niczem nadzwyczajnem. Reklama, która to dzieło poprzedzała, nastrojona była na ton tak wysoki, że rzeczywistość musiała albo zachwycić, albo rozczarować widza. Zdaje się, że stało się to ostatnie. Co do nas, czytając w pismach galicyjskich entuzyastyczne sprawozdania z tej sztuki, spodziewaliśmy się ujrzeć coś, jakoby nowe objawienie artystyczne. Tymczasem ujrzeliśmy rzecz bardzo sympatyczną, miłą, lecz nie wznoszącą się niczem po nad poziom dobrej przeciętności. „Szkoła“ Zygmunta Kaweckiego to typowa tendencyjna sztuka, wymierzona przeciwko obecnemu systemowi szkolnemu, stosowanemu w Galicyi, a nawiasem powiedziawszy także i w innych krajach. Skargi, jakie wytacza Kawecki przeciwko szkole galicyjskiej, podnoszą Niemcy w Niemczech, Francuzi we Francyi i t. d. gdyż idealnej szkoły nie ma bodaj na świecie całym, bo brak idealnych ludzi. Wszędzie są uczniowie, dążący do światła, wiedzy, ideału, wszędzie są profesorowie-rzemieślnicy, którzy siłą się skrępować młodociane skrzydła, wszędzie wzniosłość kłóci się z poziomością, a rutyna i biurokratyzm z wymogami prawdziwej pedagogiki. Nie idzie zatem, aby nie krytykować wad i usterek i nie stawiać przed oczy naśladowania godnych wzorów. Może to nie zupełnie jest zadaniem dramatu i sceny, tyle jednak mamy sztuk tendencyjnych, tyle też wygłasza się i uzasadnia ze sceny, że nie

można krępować pod tym względem autorów.

Z tego, co się powiedziało, wynika, że temat „Szkoły“ wcale nie jest nowy. Nie potrzeba też koniecznie, aby autor coraz nowe tematy wymyślał. Starczy, jeżeli stare po mistrzowsku opracuje. Jeżeli się jednak ten sam temat widziało wcześniej, a, co główna, lepiej opracowany, natenczas interes dla spóźnionej obróbki niepomiernie się zmniejsza. To przydarzyło się sztuce Kaweckiego. „Flachsmann als Erzieher“ Ottona Ernsta, Dreyera „Probekandidat“ to mustatis mustandis to samo, co „Szkoła“ Kaweckiego. Tu i tam ta sama wielce sympatyczna tendencya, występująca nawet w wyżej wymienionych niemieckich sztukach mniej niż u Kaweckiego natarczywie. Nowym i specyficznie polskim jest dodatni typ ucznia, chwytającego się samopomocy, łączącego się w tajne stowarzyszenia, aby zaspokoić głód wiedzy, przez szkołę niedostatecznie uwzględniany. Tak jest. Polak-uczeń, gdy zakłada tajne stowarzyszenia, czyni to z idealnych pobudek dla wiedzy, nauki, sztuki, Niemiec po części, aby się rozpijać piwem i małpować uniwersyteckich bohaterów kufla, ogłupiałych, zdziczałych i obrzękłych od nadmiernych, a częstych libacyi alkoholowych.

Żałować należy, że autor poprzestał na zdjęciu fotograficznem kilku zajmujących epizodów z życia szkolnego, a nie pogłębił tematu dramatycznie. Niektóre sceny np. scena pomiędzy „dobrym synem“ Orzelskim, a „kochającą matką“ zbyt były wysłodzone, zużyte co do formy i treści, żeby nie miały być niesmaczne, zupełnie zaś zbędną była scena z Madzią, nie mówiąc już o „siostrze ciotecznej,“ wypoliczkowanej przez pijaną panią Wesołowską. Nie dodawała ona uroku całości.

Sztukę grano dobrze, jeżeli nie znalazła ona u nas spodziewanego powodzenia, to już nie wina artystów, ale samego autora, który postaciom swego dramatu zanadto kazał rezonować, a za mało działać, który za wiele ilustrował, zanadto na pierwszy plan wysunął tendencyę, zbyt uwydatniał środowisko, akcesorya, zanadto rozdrabniał się w szczegółach pobocznych, a za mało okazał koncentracyi twórczej i prawdziwej artystycznej miary, bez czego nie ma arcydzieła.

W Galicyi sztuka ta może być aktualną i jako taka interesować widza. U nas krytyka, przykładana do szkolnictwa galicyjskiego, nie interesuje bezpośrednio. Zresztą tworząc pod względem szkolnictwa najnieszczęśliwsze społeczeństwo pod słońcem, patrzyliśmy na to, co się odgrywało na scenie, jako na coś godnego najżarliwszego pożądania. Dajcie nam taką szkołę — a będziemy szczęśliwi!

Mimo to, co się tu powiedziało mniej pochlebnego o sztuce Kaweckiego, należy ona do lepszych rzeczy naszego repertuaru scenicznego, dzięki rozlicznym zaletom, jakie posiada. Jestto wykrój z życia naszej młodzieży dobrze podpatrzony i tak samo oddany. Charaktry są przeprowadzone ściśle i logicznie. Ludzie Kaweckiego działają tak, jak to wynika z ich charakteru. Tendencya zaś lubo szkodzi dziełu pod względem artystycznym — pod względem kulturalnym ma dodatnie znaczenie. Dobrze bowiem jest, jeżeli braki i niedomagania instytucyi publicznych doznawają umiejętnej i uzasadnionej przedewszystkiem krytyki. Nie szkodzi też, jeżeli pewne kategorye wychowańców ujrzą się w zwierciadle sceny. Sprawiedliwość wyznać nakazuje, że Kawecki chłoszcze z dobrotliwym uśmiechem na ustach i ma wyrozumienie dla słabości ludzkiej. Taka krytyka leczy i rozbraja. Sztuka ta wywołuje poważne refleksye na temat wychowania publicznego i to może największa jej zaleta.

O grze artystów powiedzieć należy, że była bez wyjątku wyborna. Bylibyśmy w ambarasie komu przyznać palmę pierwszeństwa. Zespół był harmonijny. Wszyscy zrobili, co należało.



Zabawy zimowe.

Dyrekcyi należy się szczera wdzięczność i uznanie, że nie żałując znacznych kosztów i zabiegów, zapoznała nas z sympatyczną sztuką Kaweckiego, która ma na scenie nie tylko powodzenie zapewnione, ale stanowi także poważny dorobek naszego repertuaru scenicznego.

Z wędrówki po Królestwie Polskiem.

Sosnowiec.

(Ciąg dalszy).

Warunki sanitarne Sosnowca są opłakane.

Woda używana do picia jest zaskórna, zanieczyszczona i niezdrowa, mieszkanie ubogiej ludności wilgotne, pozbawione światła i powietrza, nigdy nie dezinfekowane po zakaźnych chorobach, błoto nieprzebyte na bocznych ulicach, przemienia się za nastaniem upałów w kurz zatruty mikrobami, unoszący się w powietrzu.

Przemysł cynkowy w obrębie gubernii piotrkowskiej, powstał około roku 1820. Pierwsza odlewnia cynku, założona została w Dąbrowie, na kolonii Reden i nazwana „Konstanty.“ Następnie fabryki cynku zbudowane zostały we wsiach: Niemcy, Zagórze, Sielcach, Pogoni, Grodźcu i Sosnowcu. We wszystkich tych zakładach przetapiano galman, znajdujący się w licznych miejscowościach powiatu będzińskiego, około wsi Strzemieszyce, Wojkowice i innych głównie w obrębie olkuskiego powiatu, gubernii kieleckiej.

Później wiele z tych fabryk zamknięto, a to głównie z powodu, że w kopalniach galmanu, cały zapas wierzchni rudy został wyczerpany, wydobywanie zaś tejże rudy z niższych pokładów ziemi, wymagało bardzo kosztownych i silnych maszyn do pompowania, na których urządzenie środki ówczesnych właścicieli okazały się niedostateczne.

Obecnie cynk przetapiany jest w dwóch zakładach, a mianowicie w cynkowej hucie pod Będzinem, urządzonej w r. 1825, oraz w hucie cynkowej „Paulina,“ założonej r. 1868.

Cynk wytopiony w hucie „Paulina“ przerabia następnie na blachę cynkową walcownia „Emma,“ należąca do Tow. Sosnowieckiego. Do tegoż Towarzystwa należy też fabryka bieli cynkowej w Sosnowcu.

W południowej części Zagłębia wzdłuż innych wychodni grubego pokładu, znajduje się największa ze wszystkich kopalnia „Rudolf,“ w Niwce, która daje sama jedna przeszło 20,000 pudów dziennie. Należy ona do Towarzystwa Sosnowieckiego.

O parę wiorst od Sosnowca, niedaleko wsi Zagórze, znajduje się przy tej samej wychodni grubego pokładu, druga znaczna kopalnia „Ignacy“ albo „Mortimer,“ własność tegoż Towarzystwa.

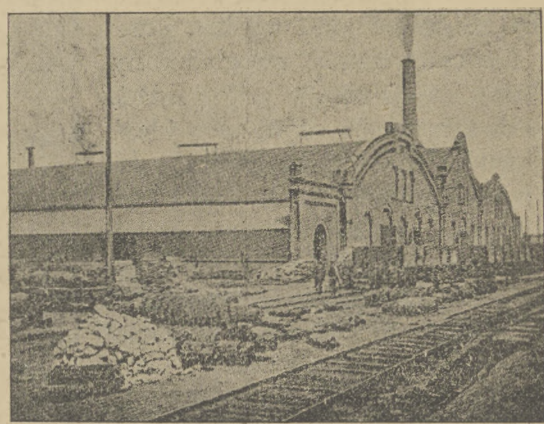
Przed trzynastu przeszło laty, szerzył się tu w podziemiu groźny pożar, który trwał przez parę tygodni. Powodem pożaru ówczesnego było wadliwe prowadzenie robót podziemnych, zasadzające się na tem, że filary węgla wyjmowano odrazu na całej grubości pokładu, a próżnych przestrzeni, pozostałych po wyjęciu węgla, niczem nie zakładano. Trzymały się one póty, póki słupy drewniane, jakie tam stawiano przy wyjmowaniu filarów, wytrzymały ciśnienie warstw na nich leżących; następnie zawalały się, a zwaliska te, z powodu bardzo znacznej grubości pokładu dochodziły do powierzchni ziemi, tworząc na niej obszerne i głębokie doły.

Ten sposób prowadzenia robót w kopalniach eksploatujących gruby pokład węgla, jakkolwiek tańszy od francuskiego, jest jednak bardzo niebezpieczny z powodu, że długie drewniane podpory nie wytrzymują często olbrzymiego ciśnienia, łamią się przed zupełnem wydobyciem węgla i sprowadzają przedwczesne zwalenie się górnych warstw, z których spadają olbrzymie kamienie i przygniatają robotników.

Oprócz tego, przy takiem przedwczesnem zawaleniu się niezupełnie jeszcze wyjętego filaru, pozostaje niewyjętą i na zawsze straconą, znaczna ilość węgla, który, krusząc się i mieszając z kamieniami, tworzy miał zapalający się z biegiem czasu i sprowadzający pożary. Takiej to wadliwej eksploatacyi węgla, przypisać należy pożar na kopalni, wzdłuż odkrywki, w której wybrana była cała wychodnia pokładu.



Sosnowiec. — Ulica Kolejowa.



Huta Bankowa. — Walcownia.

Wnętrze kopalni było połączone z odkrywką wieloma chodnikami, co ułatwiło dostęp powietrza, tak, że kiedy w jednem miejscu pokazał się ogień, nie można było go odgrodzić i pożar rozprzestrzenił się z nadzwyczajną szybkością po całej górnej części kopalni.

Przez kilka tygodni olbrzymie płomienie wydobywały się wszystkiemi otworami, łączącemi wnętrze kopalni z odkrywką i oświecały okolicę na kilka wiorst wokoło.

W najniższej części kopalni znajduje się szyb, który stanowi drugie jej połączenie z powierzchnią. Na szczęście prąd powietrza szedł przez kopalnię w ten sposób, że wchodził na dół szybem do najniższej jej części, następnie podnosił się coraz wyżej pochyłemi chodnikami, idącemi po pokładzie i wychodził przez odkrywkę w najwyższej części kopalni, unosząc z sobą dym i gazy powstałe z pożaru.

Ta okoliczność umożliwiła ratunek, gdyż wnętrze kopalni otrzymywało z szybu świeże powietrze, dzięki któremu

można było dostać się pochyłemi chodnikami w górę, prawie do samego miejsca pożaru i zamurować te chodniki, a tem samem powstrzymać przeciąg powietrza. Przy tej robocie nie obeszło się jednak bez wypadku; czterech ludzi, którzy się nadto zbliżyli do ognia, znalazło śmierć w duszących rozpalonych gazach.

Po zatrzymaniu dostępu powietrza z dołu, ogień wygasł powoli sam przez się i został ostatecznie stłumiony przez zasypanie otworów łączących wnętrze kopalni z odkrywką.

Około tej samej wychodni grubego pokładu, leżą dwie kopalnie: „Kazimierz“ i „Feliks“ w miejscowości zwanej „Niemce,“ o których przedewszystkiem to się da powiedzieć, że stanowią wyjątek między kopalniami dąbrowskiemi, bo należą nie do cudzoziemców, lecz do tak zwanego Warszawskiego Towrzystwa — założonego przez krajowych kapitalistów. (D. n.)

Edward Nałęcz.

Jan Kazimierz na Bielanach w czasie pożaru w roku 1655.

(Patrz: illustracyą albymową).

Do najsmutniejszych kart dziejów należy zaprawdę okres panowania Jana Kazimierza.

Karol Gustaw przebywa Bałtyk dla najazdu Polski: zastępy jego sieją przestrach i przerażenie. Jakby klątwa Boża uderza na wszystkich trwoga i zwątpienie. Waleczne dotąd rycerstwo traci odwagę, popłoch pędzi ich chorągwie w nieładzie. Szwedzi biorą bez walki Warszawę 1655 roku, dążąc pod Kraków, gdzie zamknął się jeden z najdzielniejszych wodzów, Stefan Czarniecki. On skłania króla, ażeby starą swą stolicę opuścił i szukał bezpiecznego przytułku na obcej ziemi; bo sam będzie ją bronił.

Jan Kazimierz uchodząc z Jerzym Lubomirskim z klasztoru Bielańskiego (Kamedułów), spogląda z wyniosłości Mogielan na Kraków, płonący pożarem w około, bo Czarniecki pali sam przedmieścia, dla lepszej obrony.

Król z boleścią odwraca spojrzenie od tak smutnego obrazu. Orszak nieliczny go otacza, a jeden z wiernych towarzyszów, unoszący szkatułkę z kosztownościami, zakrywa ręką oczy, aby utaić swoje łzy rzewne.



Z POŁOWU.

Zdania i myśli.

Budujmy wszyscy! bo każden co zdoła
Myśl dobrą przelać w gorliwe działanie:
Współpracownikiem wszech wieków się stanie,
Przyniesie dar swój do prawdy kościoła.

Deotyma.

Baśń szczęścia.

Bije na wieży złoty dzwon,
Na obszar świata bije,
Staremu światu wróży zgon,
A wieści: Nowy żyje!
Idzie ten nowy z górnych dróg,
A co przynosi? — wie li Bóg!

W przędzy z łez ludzkich, z kiru, z krwi
Nić się przesuwa złota,
Od wieków lepsze świata dni
Wymarza dusz tęsknota
I z każdym rokiem śni, że już
Wschodzą promienie owych zórz!

Ta baśń o szczęściu idzie wciąż
Po drogach cierniem krytych,
A przed nią, chytry złości wąż,
A za nią stos zabitych!
Zmaga się wiecznie noc ze dniem,
I wizya szczęścia czem jest? snem!

Choć się nie ziścisz, złoty śnie,
Serc umęczonych wiaro!
Wyskrzydlaj ducha, co się rwie
Nad łez doliną szarą!
I Chrystusowy dźwiga krzyż
I przez męczeństwo leci wzwyż!

Niech wali twardy bólów młot,
Niech z męki kuje zorzę,
Zaliż kto wstrzyma orlów lot?
Zaliż zadzierży morze?
Nad wszech żywiołów krzepki ruch
Mocniejszy żywioł: wolny duch!

Ten duch zwycięży! szczęścia baśń
Prawdą się wtedy stanie!
Miłość wydepcze starą waśń
Na wielkiem ludów łonie;
Jedno mieć hasło będzie świat
I godność jedną: Człowiek brat!

Or-Ot.

Pan Mamert.

(Humoreska.)

Pan Mamert ze sprawnością kuli bilardowej spuszcza się po schodach, wypada na ulicę i wskakuje w dorożkę.

Otrzymał przed kilku dniami zaproszenie na wesele jednego z swych licznych przyjaciół.

Wesele ma się odbyć o 7-mej wieczorem.

Zapomniał o niem na śmierć. Dopiero w ostatniej chwili przypomniał sobie o inwitacyi.

„Dokąd jechać?“ — zapytuje dorożkarz. Pan Mamert zapomina, że wesele miało się odbyć w hotelu Francuskim i odpowiada: „Do Bazaru, ale prędko, co koń wyskoczy. Otrzymacie dobry napiwek.“ Dorożkarz zaciął konie i pognał, jakby go furye goniły. Przed Bazarem stanął. Pan Mamert wyskakuje z dorożki, nie płaci dorożkarza i wpada jak piorun do zabitki portyera.

Gdzie wesele pana L...? zapytuje niecierpliwie. Przypadek chciał, że i w Bazarze jakiś pan L... wyprawiał wesele. Kelner prowadzi pana Mamerta na salę. Ten zoczył jakieś próżne miejsce przy stole, jest przekonany, że to krzesło przeznaczone dla niego, siada, a ponieważ inni już spożyli zupę, pochłania gorącą polewkę, aby dogonić współtowarzyszów biesiady. Zjadł. Teraz rzuca spojrzenie do okoła siebie, szuka oczyma państwa młodych, aby się z nimi przywitać.

„To dziwne — pomyślał — co ten biedny Staś L. ma dziś za cudaczną głowę. Szczęście go zmieniło. Ale panna młoda! Naprawdę, ona musi pochodzić z rodziny kameleonów. Zupełnie zmieniła barwę. Wczoraj czarna jak heban, dziś włosy barwy dojrzałego zboża! Co to może wzruszenie!“ Rozgląda się po sali, szukając znajomych. Nie zna jednakże nikogo. „Co u kata, czy aby dobrze jestem tutaj w hotelu Francuskim?“ pyta przerażony.

„Nie, jesteś pan w Bazarze“ brzmi odpowiedź sąsiadki. Pan Mamert wstaje, jakby go pszczoła ukąsiła. Rzuca się do drzwi, zapomina klaka, zamiast paletota zawdziewa jakąś damską zarzutkę i pędzi do hotelu Francuskiego. Nareszcie znajome twarze!

Późno w nocy wraca pan Mamert z biesiady. Na schodach ciemno. Myli się co do piętra i na nieszczęście, że klucz jego stosuje się do drzwi, wiodących do obcego pomieszkania. Wchodzi do jakiejś sypialni, rozbiera się i kładzie się do jakiegoś łóżka, pewny, że jest u siebie...

Zasnął. Naraz budzi go donośne chrapanie. Zdziwiony zapala zapałkę i ku najwyższemu przerażeniu spostrzega, że nie jest sam w pokoju. „Chwytaj złodzieja!“ woła rozpaczliwie. Służba się zbiega i z zdumieniem spostrzega, jak pan Mamert mocuje się z panem domu, który daleko głośniej ryczy: na pomoc, łapaj złodzieja! Służący poznali pana Mamerta, lecz dość długo trwało, aż go przekonali, że to on w obcem się znalazł mieszkaniu.

Pewnego dnia przechadza się pan Mamert po placu Wilhelmowskim. Naraz kłania się jakiejś otyłej damie, która, jak fura z sianem, toczy się po chodniku i rozpuszczonym trenem wznieca tumany kurzawy. Jak się miewa kochana ciotunia? woła p. Mamert podając jej ramię z najsłodszym uśmiechem.

Dama rzuca mu piorunujące spojrzenie: mój panie! padło z sykiem z pulchnych warg nieznajomej. Po niewczasie spostrzegł pan Mamert swą omyłkę.

W najwyższem zaambarasowaniu bełkocze kilka bezsensowych słów, obraca się na obcasie i znika w składzie Koźlickiego.

— Czem wolno służyć?

— Proszę o paczkę Noblesów!

— To chyba nie u nas. My wyrobów tytoniowych „nie prowadzimy.“ Tu młody człowiek zaczął wyliczać długą litanię najróżnorodniejszych artykułów męskich, począwszy od szkarpetek skończywszy na krawacie.

Pan Mamert niekontent opuszcza sklep i nie może zrozumieć dla czego nie otrzymał, czego żądał. Popierajże tu swoich — pomyślał...

Pewnej soboty jesiennej znalazł się pan Mamert w teatrze. Zajął miejsce w loży prosceniowej. Obok siebie na krześle położył błyszczący cylinder i bukiet przepysznych kwiatów. Dawano sztukę nową, pono „Wychowanie Józefki.“ Artyści grali wybornie, bohaterka czarowała wszystkich. Nawet najzajadlejsi krytycy poddawali się urokowi. Pan Mamert, wielki lubownik dramatu, czekał tylko chwili stósownej, aby hołd swój, zaklęty w pęk płomiennych róż, wyekspedyować na scenę. Nareszcie nadchodzi najdramatyczniejsza chwila. Pan Mamert wstaje i z wytwornym gestem rzuca na scenę.... kapelusz ku ogólnej wesołości audytoryum, a niebywałemu przerażeniu policyi, straży pożarnej no, i samej artystki....

Cóż chcecie? Pan Mamert jest nieco roztargniony.

P. B.

Złote listki.

Wspanialsza jest udzielić dobrodziejstwo nieproszącemu o nie, jak proszącemu.

Ks. Stan. Chołoniewski.

* * *

Kogo czuciem szlachetnem obdarzyłeś Boże,
Ten o złem bez wzdrygnienia i słuchać nie może.

St. Jachowicz.

W 40-tą rocznicę zgonu Artura Grottgera.

13. 12. 1867. — 13. 12. 1907.



Artur Grottger,

40 lat minęło od chwili, gdy zdala od swoich, na obcej ziemi, zakończył życie wielki, a niepoznany za życia, artysta poski Artur Grottger.

Któż dziś nie zna jego obrazów?!

Dziś — ale nie znało ich społeczeństwo nasze wtedy, gdy jeszcze niemal ciepłe wychodziły z pod ręki mistrza!

To samo mówiły do nas, co mówią dzisiaj; czas nie uronił nic z ich piękności, nie przysypał ich pyłem przedawnienia, a jednak — a jednak ich twórca, bogacz niezmierzonych skarbów, talentami bożemi obdarzony tak hojnie — umarł w nędzy, z przepracowania, może z głodu!

Jakże smutno być artystą w Polsce!

* * *

Artur Grottger urodził się 11-go listopada 1837 roku w Ottyniowicach, w Galicyi wschodniej.

Wychowany w atmosferze poezyi romantycznej, kochał ludzi szczerze, gorąco, a szczególniej do ojca swego był przywiązany. Od niego też uczył się pierwszych zasad rysunków, od niego również, jak i od matki, kobiety wysoce wykształconej, przejął wielkie zamiłowanie do sztuki i piękna.

Młody, a rozgłośny już wówczas Juliusz Kossak, odgadł w chłopczynie niezwykły talent i przyjaźnie udzielał mu rad i wskazówek. Od Kossaka nauczył się Grottger obserwacyi i odtwarzania życia, pogłębił zaś je później własną pracą, własną myślą, którą przenikał i dusze ludzkie i górne, niedostępne dla innych, sfery najczystszych idei.

W roku 1852 udał się do Krakowa, gdzie wstąpił do instytutu technicznego, poświęcając też wiele czasu rysunkom w szkole sztuk pięknych, kierowanej wówczas przer Stattlera.

W rok później widzimy go już w Wiedniu, jako ucznia Akademii, gdzie pracuje pod wpływem profesora Rubena. Zasypywany zamówieniami od wydawnictw niemieckich, zwraca się jednak ciągle do tematów swojskich, rodzimych, rysując i malując naprzemian ołówkiem, kredką, akwarelą, nawet olejnemi farbami.

Mnóstwo szkiców i dzieł skończonych, doskonałych Grottgera znajduje się w zbiorach prywatnych; wielką ich część poumieszczał na swoich kartach „Świat“, nieistniejący już dwutygodnik artystyczny wydawany w Krakowie przez Z Sarneckiego od roku 1888 — 1896, a jeszcze więcej z nich, wraz z późniejszemi arcydziełami pomieszczono na krajowej Wystawie lwowskiej w r. 1804.

Grottger doszedł do przekonania, że tylko kreda biała i czarna jest dla niego najodpowiedniejszem narzędziem uzewnętrznienia tego co ma w duszy.

Porzuca około roku 1860 pędzel i zaczyna rysować całe cykle obrazów, („Polonia,“ „Lituania“) które mu później aureolą nieśmiertelności uwieńczyły młode skronie.

Przebywając głównie za granicą, nie zapomina o kraju; często doń zjeżdża, jakby chciał ojczystem powietrzem ożywić płuca i wchłonąć w nie tyle tchnienia rodzinnych stron, by mu wystarczyło na nowe lata włóczęgi.

Właśnie w czasie swego pobytu we Lwowie w roku 1866, poznaje młodziutką, piękną Wandę Monne, i ona staje się natchnieniem, przewodnią gwiazdą wielkiego artysty. Jej to właśnie postać widzimy na wszystkich kartonach „Wojny.“

Zaręcza się z nią Artur i zaczyna marzyć o zdobyciu środków, by módz się z ukochaną narzeczoną połączyć węzłem dozgonnym.

Wiedział Grottger, że w kraju nie zdobędzie potrzebnych warunków, po-



Artur Grottger. „W Puszczy“. („Lituania“.)

stanawia więc wyjechać do Francyi i tam, zrodzoną już w duszy „Wojnę“ wystawić w Paryżu i sprzedać. Zaniechał pierwotnego zamiaru, by dopiero z ukończonym cyklem wyjechać; opuścił kraj daleko wcześniej i tam, już na paryskim bruku, w ciasnem, zimnem mieszkaniu, pracując po 16 godzin na dobę i dla chleba i dla sławy, wykończał ostatnie swe dzieło.

Nadszedł maj 1867 rok — wystawę w Salonie paryskim otwarto i „Wojna“ znalazła wśród niej miejsce jedno z lepszych. Niestety, płonne były nadzieje artysty! Pomimo olbrzymiego wrażenia, jakie dzieło zrobiło, nie znalazł się nabywca.

Nie zmieniły się więc opłakane dotychczas jego warunki bytu, aż dopiero w pierwszych dniach listopada zakupił „Wojnę“ cesarz austryacki Franciszek Józef I. za 3,000 franków.

Przyszła nareszcie wyczekiwana pomoc materyalna, ale przyszła — zapóźno!

Już od kilku miesięcy toczyć zaczęła choroba ten wątły organizm, w którym jednak mieszkał duch potężny i silny. Z zaziębienia przyszedł wybuch krwi, który trwał trzy dni, a po nim zabójcza choroba piersiowa straszne i prędkie czyniła postępy.

Do tego i moralne bóle, zawody, żal do swoich, którzy jego genialnego talentu nie poznali, smutek i tęsknota za ukochaną, którą zostawił daleko, dokonały reszty.

Z polecenia lekarzy wywieziono chorego do Pau, na początku grudnia, gdy choroba jeszcze bardziej się wzmogła, — dalej na południe, do Amelie les Bains.

Tu był kres jego podróży i kres jego życia.

Nastąpiło osłabienie tak wielkie, że na trzeci dzień po przyjeździe, chory nie mógł utrzymać łyżki w ręce. Przeczuwał sam śmierć blizką.

Nadszedł wreszcie dzień 13-go grudnia 1867 r.; jeszcze nad ranem o 4-ej godz. nieodstępny jego przyjaciel, Marceli Krajewski, rozmawiał z chorym; — gdy trochę później wstał, by podać mu lekarstwo — Artur już nie żył.

Uleciał z biednego ciała duch wielki, opuścił smutną „dolinę łez,“ by już odtąd z innej krainy spoglądać na ziemię, co go poznać nie umiała za życia.

. . . .

A teraz przejdźmy po kolei jego dzieła, z których niektóre wyjątki podają załączone illustracye.

Grottger stworzył cykle: „Polonię,“ „Lituanię,“ „Wojnę“ i cały szereg obrazów, z których każdy stanowi dla siebie całość skończoną.

Prócz tego pozostało po nim (o czem mówiliśmy już wyżej) mnóstwo szkiców i obrazów rozrzuconych po świecie, a każdy z nich — to perła drogocenna.

Najwięcej ich posiada żyjąca dotąd we Lwowie profesorowa Wanda Młodnicka, narzeczona artysty, oraz jej córka, poetka Maryla Wolska.

Opowiemy treść najznakomitszego arcydzieła Grottgera p. t. „Wojna.“

Oto do pracowni artysty przychodzi anioł jego natchnienia, świetlana postać z gwiazdą u czoła i wzywa, by poszedł za nią „w dolinę łez.“

Prowadzi go w kraj nieszczęsny, wyniszczony wszystkiemi okropnościami wojny.

Więc najpierw zapowiedź jej straszna, znak „złowróżbny“ na niebie,



Artur Grottger. **Chłopcy z kolędą.**

potem „losowanie“ tych, co porzucić mają szczęście rodzinne, żonę, dziecię jedyne i iść — iść na pole walki, w miasta zniszczone „pożogą,“ w wioski, gdzie matka odrobinę chleba dzieli między dziatek zgłodniałych dwoje.

Ale mało jeszcze tej grozy. Wśród swoich znalazł się zdrajca, co sprzedać chciał wrogom — jak Judasz za srebrniki nowe — sprawę ojczystą i braci... Straszna spotyka go „kara.“

I znowu inny obraz: ponure śmierci pole, trupami zasłane. Chmury nad niem groźne, a wśród stosów poległych, widma jakieś snują się czarne: którędy przejdą, ciała nagie zostawiają, odarłszy z nich okrycie ostatnie. Więc pyta artysta zbolały przewodnika jasnego: „Ludzie, czy szakale?!...“

I nie pozostaje nic nowego dla sierot biednych, opuszczonych, jak tylko „nędza:“ w koszulinkach bose, wystraszone, wracają z ukrycia do izby, gdzie tylko ciała martwe i krew...

Lecz jeszcze nie przebrana miara okropności. Aż oto i Bóg znieważony został: w kruchcie kościelnej ubrano Chrystusa w broń żołnierską — Jego, Baranka cichego... Pod stopami bębny, na nich karty i kielichy, — przybytek Boga splugawiony, aż posąg kamienny rycerza z przed wieków ręce załamał ze zgrozy...

Nie może już patrzeć na świętokradztwo tak wielkie mistrz, ni geniusz jego: odchodzą z zasłonioną twarzą, z rozpaczą w duszy.

I wraca artysta do pracowni swojej i rzuila na płótno dwie ofiary Bogu — Ablową i Kainową... Bóg przyjmie świętą i czystą, bo sprawiedliwy.

Taką jest treść 11-tu obrazów „Wojny.“

O „Polonii“ i „Lituanii“ mówić tu nie będziemy bliżej: każde z tych dzieł nam drogich jasno mówi za siebie.

A jeszcze słów parę o tych luźnych obrazach, objętych cyklem czwartym. Ileż wspomnień, ileż łez gwałtem się ciśnie do oczu!

Jak w kalejdoskopie przesuwają się nam obrazy z dalekiej i bliższej przeszłości: ogród Saski w Warszawie w 1861 roku; prześliczna postać wojownika modlącego się pod figurą, przed pójściem w bój; tam znowu dwoje pachołąt zasłuchanych w opowieści o przygodach wojennych.

Tu wreszcie otwierają nam się podziemia Wawelu: stajemy u grobu Naczelnika...

Między tem przewija się słodka twarz Barbary, rozmiłowany wzrok Zygmunta. Oto znowu legendowa postać córy Popiela, lekka jak mgła: na jej widok na usta cisną się słowa Mickiewicza: „a przed nią bieży baranek, a za nią leci motylek...“

W nieskończoność mówić-by można o tych arcydziełach tak wcześnie zgasłego artysty.

Choć go nie umiała ocenić za życia ziemia jego rodzinna, nie pozostawiła go jednak wśród obcych, gdyż w pół roku po śmierci przewieziono drogie szczątki do kraju i złożono na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie.

Tutaj twórcę „Wojny“ ostawiła Beatryks jego — lecz czy miejsce jego tu? Wołają mury Krakowa, podziemia Skałki — by im oddać w przechowanie mistrza popioły. Te mury utulą, aż przyjdzie czas, — aż znowu z promienną gwiazdą, słodka Beatrycze powiedzie go tam, gdzie dotąd bujał tylko duchem jasnym a czystym.

El. K.

Kolęda.

Straszno wszędzie, smutno wszędzie!
Wywłaszczenie kuje wróg;
Co z kochaną ziemią będzie?
Gdy nam nie pomoże Bóg...

Więc pod wroga kolanami
Ziemi twoich ojców strzeż!
Bóg zmiłuje się nad nami
W miłosierdzie Jego wierz!

Straszno wszędzie, smutno wszędzie...
Ha! słyszycie starzy, młodzi!
Już zagrzmiało w świat orędzie:
Bóg się rodzi! Bóg się rodzi!

My z krainy bolów, jęku
W światła wieńcu lulaj w żłobie!
Lulaj, lulaj, Jezusienku!
Korny pokłon niesiem Tobie!

Lulaj, Boża Ty Dziecino!
Boskim Twym uśmiechem mów:
Łaski Ojca spłyną, spłyną,
Na kąsanych. . . . .

Karol Brzozowski.

KALENDARZE.

Koniec starego i pierwsze miesiące rozpoczynającego się roku odznacza zawsze rozwój jednej gałęzi handlu: wielka obfitość rozmaitych kalendarzy; któż bo nie kupuje kalendarza? Żadna warstwa społeczeństwa, od góry do dołu, nie może obejść się bez niego, a dziś jeszcze w głuchych, zapadłych kątach prowincyi, w odciętych od ruchu światowego wsiach i miasteczkach, kalendarz tak samo jak ongi — za czasów pradziadowskich — jest jedynym przedstawicielem „literatury“, jedynem źródłem wiadomości „ze świata“ dla miejscowych mieszkańców.

Dawniej w czasach zamierzchłej przeszłości w początkach ery chrześciańskiej przodkowie nasi wycinali tajemnicze znaki na długich drewnianych drążkach, godła, które oznaczały początek każdego miesiąca, i pojedyncze kreski znaczące dni. Ale to nie mogło wystarczyć pobożnej duszy ówczesnych ludzi; dużo dni miało swoje uroczyste znaczenie, zwłaszcza te, które przypominały zdarzenia z życia Zbawiciela, lub te, które poświęcone były wspomnieniom chrześciańskim. Ucze-



Artur Grottger. **„Kometa.“ — („Wojna“).**

ni zakonnicy siedząc nad zwojami pergaminów, malowali kunsztownie litery i obrazki na cześć Pana i Jego Świętych. Układali też rymy, opisujące kolej i znaczenie następujących po sobie dni. Jeden z niemieckich autorów przytacza w swojej gruntownej pracy o „kalendarzu“ kilka ustępów z kalendarza pisanego w dziesiątem stuleciu. Naprzykład:

„To jest pierwszy miesiąc, który pierwotne ludy nazwały styczniem. A gdy upłynie pięć nocy, nadejdzie dzień chrztu, Pana naszego Przedwiecznego. A potem w cztery tygodnie bez dwóch nocy, nastanie miesiąc złoty, niełaskawy luty, jak uczeni ludzie zebrani dla badań, czcigodni starcy dobrze świadomi rzeczy, obliczyli... itd.

Niezupełnie dokładnie choć rozwlekle, jak widzimy, pomimo, że Karol Wielki urzędownie nakazał nazwy wszystkich miesięcy, ogólnie jednak przyjęto wszędzie nazwy łacińskie — lub na łacinie oparte. Wyjątek między innemi narodami stanowią Polacy, mający własne, polskie nazwy na wszystkie miesiące.

Kalendarze z rozlicznemi znakami nie znikły w Niemczech, ale w późniejszych czasach ukazują się ułożone sztuczniej. Na drewnianych tabliczkach znajdują się przy dniu świętych męczenników wyryte ich godła; i tak przy świętym Wawrzyńcu — ruszt, na którym go piekli oprawcy — albo przy świętym Bartłomieju — nóż, którym go ze skóry obdarto; przy dniu świętego Marcina Biskupa wizerunek gęsi — i t. p.

Ale w owych odległych czasach, te kalendarze, czy martyrologie, stanowiły własność jednego tylko człowieka; ogół umiał radzić sobie inaczej. Znajomość dni świątecznych była tem potrzebniejsza, że wszystkie dokumenta nie były zaopatrzone w datę właściwego dnia, lecz np. „nazajutrz po dniu świętego Bonifacego“ lub „na trzy dni przed dniem świętych Szymona i Judy“ itp. Nie pozostawało ludziom nic



Artur Grottger. **„Widmo“. („Lituania“).**

innego, tylko uczyć się na pamięć dni świętych i męczenników, co przy znacznej ich liczbie było także swojego rodzaju męczeństwem. Dopomagali sobie w tem ludzie przypowiastkami, towarzyszącemi niektórym świętym. W Niemczech, na każdy miesiąc były odpowiednie wierszyki, opiewające dni

Ma do tańca Szymona i moje towarzyszki...

i t. d.

W późniejszych czasach dni świąteczne i liczby, odznaczane bywały złotem lub kolorami dla łatwiejszego odszukania niedziel i zmian księżyca. I u nas jeszcze do niedawna, w kalendazmienne. Ale więcej jeszcze niż wpływem planet, zajmowali się autorowie kalendarzy puszczaniem krwi. We wszystkich prawie starych kalendarzach, są wskazane dni pomyślne lub niesprzyjające puszczaniu krwi, i objaśnienia, kiedy z jakiej części ciała puszczać ją należy. Najlepsze do tej



Artur Grottger. „Znak". („Lituania").

i uroczystości wybitniejszych świętych. Można się domyśleć, że przy tej sposobności, święci musieli wysłuchiwać najosobliwszych rzeczy, głoszonych pod ich adresem. Jako przykład może posłużyć wiersz na październik:

„Remigi wzywa Franciszka
Na wesołe tańce z Gertrudą.
Urszula mówi: Kto chce potańcować

rzach wszystkie niedziele i święta, drukowały się czerwonemi literami.

Z biegiem czasu zaczęły pojawiać się w kalendarzach wskazówki co do wpływu planet na lekarstwa, na puszczanie krwi i strzyżenie włosów. Jowisza i Wenus uważano za planety łaskawe — Saturna i Marsa za szkodliwe — słońce, księżyc i Merkurego — za

operacyi dni były: 3 lutego — 1 maja — 24 sierpnia i 11 listopada. Ale kto się odważył puszczać krew 13 marca lub 17 kwietnia, narażał się na oślepienie.

Bardzo smutne horoskopy spotykamy często o wpływie miesiąca na losy dzieci urodzonych w jego ciągu. Naprzykład: „kto urodzi się w styczniu,

będzie kwaśny, od wody mu będzie zagrażać niebezpieczeństwo — będzie miał mało dzieci, a najstarsze postrada. Ale jeżeli przeżyje 35 lat, to będzie żył lat 90. Człowiek w styczniu urodzony bywa zwykle złośnik, ale w gruncie dobry“ — itd. I dziś jeszcze podobne „horoskopy“ spotykamy w sennikach i różnych broszurkach sprzedawanych po odpustach i jarmarkach, lub drukowanych na karteczkach, które wyciągają uczone ptaszki i myszy. Ale autorowie starych kalendarzy chlubili się swą mądrością, i nie omieszkali nigdy wypisywać swoich nazwisk pod temi arcydziełami astrologicznej wiedzy. Dopiero kiedy po wynalezieniu druku cena kalendarzy spadła, i rozpowszechniały się one przy wzrastającej liczbie ludzi umiejących czytać, zaczęły pojawiać się nowe rubryki — proroctwa na roz poczynający się rok, przepowiednie pogody, czytane zawsze z zajęciem, pomimo, że nie sprawdzały się nigdy. Z czasem zaczęto też pozostawiać przy pojedyńczych dniach wolne miejsce na zapiski, lub przy każdym miesiącu karty białego papieru, na których właściciel kalendarza zapisywał ważniejsze zdarzenia zaszłe w rodzinie, i w całym kraju. Dawne polskie kalendarze ,zawierają dzięki temu bogate materyały do historyi Rzeczypospolitej i pojedyńczych rodzin szlacheckich; dużo szczegółów odnoszących się do dawnego życia i zwyczajów szlachty i zamożniejszego mieszczaństwa, przechowało się w tych notatkach. Byłyby one nierównie obfitsze, gdyby nie ciągłe wojny, zamieszki i najścia obcych wojsk, pożary i rabunki, które stale niszczyły miasta, a tembardziej wiejskie posiadłości, skutkiem czego dawne sprzęty, książki i kalendarze ulegały zagładzie, nie mówiąc już o wrodzonem naszem niedbalstwie i lekceważeniu wszelkich zabytków, pamiątek, a nadewszystko „starych szpargałów“ jak je ogół nazywał i do dziś nazywa, niszcząc je lekkomyślnie.

Bardzo wielką wagę przywiązywano w dawnych czasach nietylko do przepowiedni pogody, ale i do zamieszczanych w kalendarzach rad dla rolników, dotyczących siewu zbóż i sadzenia różnych roślin. Kiedy w 1583 roku nastąpiła reforma kalendarza i po 18 lutego nastąpił 1 marca, wielkie oburzenie wybuchło w Niemczech wśród rolników. Pozostała z tego czasu przypowiastka wyrzucająca zdradę świętym, którzy owego roku znikli; „coście narobili nam, biednym ludziom, którzy nie wiemy teraz, kiedy orać, siać i sadzić!“

Pod względem technicznym, wydawnictwo kalendarzy wyróżniało się ozdobnością tylko we Francyi, gdzie już w piętnastem stuleciu spotyka się w kalendarzach cenne rysunki. Zamieszczano w nich wspomnienia ubiegłego roku, o wojnach i zawarciu pokoju, o zgonach i narodzinach w królewskiej rodzinie. Prócz tego piękne alegorye, przedstawiające dwanaście miesięcy pod ludzkiemi postaciami, pojawiają się także w tym mniej więcej czasie. Ale prawda i to, że w innych krajach nie dopuszczonoby do kalendarza tak śmiałych alegoryi, jakie widuje się w ówczesnych francuskich, naprzykład uosobienie maja w postaci dziewicy siedzącej pod drzewem w wannie, obok której stoi piękny młodzieniec.

Ważną zmianą było pojawienie się stuletniego kalendarza, to jest takiego, który podaje przepowiednie pogody na sto lat — tylko tyle! Najsłynniejszym z nich był wydany w Niemczech, przez opata Maurycego Knauera, który z obiegu planet wyprowadzał wnioski na całe stulecie.

Dopiero w dziewiętnastem stuleciu rozszerzyły się ramy kalendarza, gdy zaczęto w nim pomieszczać rozmaite utwory prozą i wierszem pisane. Poetyczny nastrój ówczesny odbija się w kalendarzach i różnych, modnych w pierwszej połowie zeszłego wieku noworocznikach, almanachach, itp. wydawnictwach, zawierających utwory pierwszorzędnych poetów.

Stopniowo zaczęli ludzie zdawać sobie sprawę z wartości, jaką posiada kalendarz w kierunku dydaktycznym, przenikając do wszystkich warstw społecznych, do miast i wiejskich osad i skutkiem tego rozwinęła się specyalna gałąź literatury kalendarzowej. Ta skromna książka, która znajduje drogę do każdego domu, i stanowi nieraz jedyny pokarm umysłowy na cały rok — oddaje nieobliczone usługi sprawie oświaty, jeżeli zawiera dobrze dobrane i pożyteczne dla pewnych kół czytelników utwory. Dowodem tego rola, jaką w obudzeniu ducha narodowego u polskiego ludu na Szląsku odegrały wydawane z obrazkami kalendarze, które i u nas już się pojawiają. Przytem ukazują się w roku całe roje humorystycznych kalendarzyków, których treść stanowią odgrzewane koncepta, drukowane przedtem w pismach humorystycznych — suto ilustrowane niezbyt wybrednemi, ale za to często bardzo jaskrawemi rysunkami. Handel temi kalendarzykami trwa od jesieni do wiosny, która przynosi znaczną zniżkę cen w towarze, znajdującym dzięki temu chętnych nabywców — nawet po skończonym sezonie.

Pod względem zewnętrznej szaty pozostaliśmy daleko poza resztą Europy. Wykwint i artystyczne piękno kalendarzy i kalendarzyków francuskich, angielskich a nawet niemieckich, mogą zaimponować skromnym naszym wydawnictwom, przedstawiającym się jak kopciuszek, wobec sióstr strojnych w balowe szaty.

Noworoczne życzenia.

— Ręka ustaje od pisania! Temu, kto wymyślił pisanie życzeń na Nowy Rok, życzyłbym, aby...

— Po co życzyć źle ludziom, którzy tak piękny ustanowili zwyczaj? Jest to właśnie dzień, w którym się myśli nietylko o najbliższych sercu osobach, ale i o dalszych znajomych i każdemu posyła się kilka słów pamięci i życzliwości! Przyznam się szczerze, że nie chciałabym się pozbywać przyjemności czytania wszystkich listów i biletów, jakie w ten dzień odbieram i z równą przyjemnością wysyłam całą paczkę listów i biletów w różne strony świata! A zresztą, kto tak jak pan, jest nieprzyjacielem pisania — ten niech da pewną sumę na cel dobroczynny „zamiast powinszowań noworocznych“ i sprawa załatwiona!

— Bardzo dobrze, dałem już na ten cel kilkanaście marek, ale kto ma dwadzieścia starych ciotek i dwudziestu starych wujów w Wielkopolsce, Królestwie i Galicyi, ten pisać do nich musi. Bo oni tam nie wiedzą, czy dałem tu co na cele dobroczynne — wycinków z gazet posyłać im nie mogę, a każda z ciotek i każdy z wujów pomyśli sobie z niechęcią:

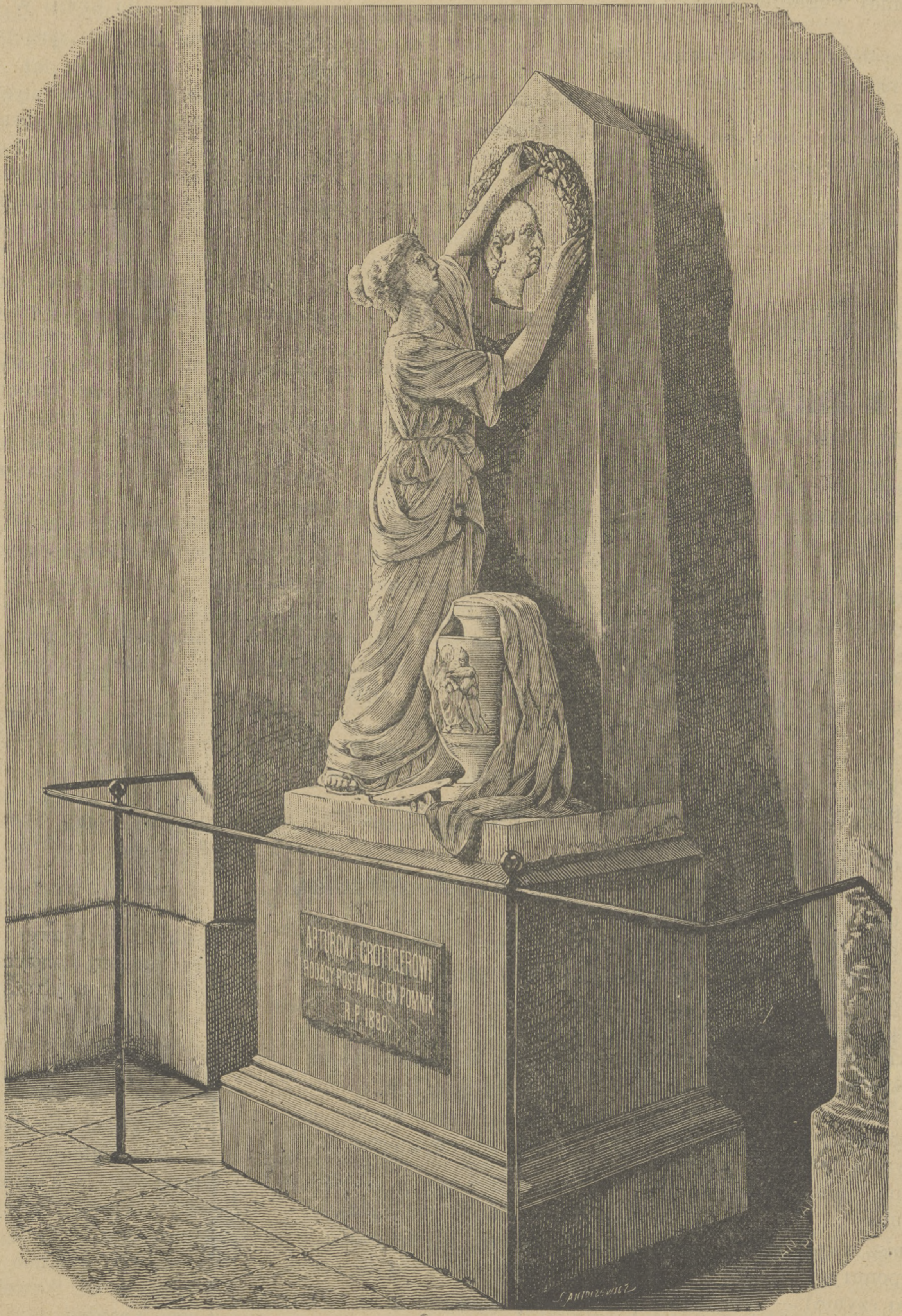
— Mógł był też Staś do mnie parę słów napisać! Zapomniał widać o mnie, no, to i ja o nim pamiętać nie potrzebuję!

— Aha, i w razie pisania testamentu zapomni o panu! Ależ w takim razie pisz pan — naturalnie! I to jak najdłuższe listy, bo krótkie nie wywierają należytego wrażenia. I mów pan co chcesz, chociaż potrzeba bardzo wiele iluzyi, aby uwierzyć, że wszystko to, co się komu w Nowy Rok życzy, ma się spełnić, to jednak w na-

turze człowieka leży już zawsze pewna skłonność do nadziei, i że każdy spodziewa się spełnienia kilku chociaż życzeń. Bo serce człowieka musi zawsze czegoś pragnąć i spodziewać się czegoś, inaczej nie wartoby żyć wcale!

— Tak, tylko że Nowy Rok obfituje zwykle tak samo w rozczarowania i zawody, jak stary. I gdy się cofniemy myślą w rok ubiegły, poznajemy, że wszystkie, a przynajmniej większa część naszych nadziei spełzła na niczem. Rozpoznanie to gniewa i dręczy nas i psuje nam humor w ostatniej godzinie roku!

— W takim razie zwróćmy życzenia nasze i pragnienia na inną drogę. Nie żądajmy już od losu niczego nadzwyczajnego, nie chodzenia po różach, tylko tego, aby nam zostało to co mamy, aby nam się gorzej nie wiodło. Jesteśmy zdrowi, posiadamy wszystkich sercu drogich, mamy z czego żyć, to dosyć! Po co żądać więcej! I byleby nam to zostało na przyszłość — o więcej nie potrzebujemy się troszczyć! Że chorzy pragną zdrowia, biedni pieniędzy — to rzecz jasna i takim życzymy też z całego serca spełnienia ich życzeń, ale nam powinno wystarczyć to, co mamy i nie powinniśmy sięgać za wysoko! Nie jeden z nas nie wie wcale, jak jest bogatym i szczęśliwym!



Pomnik Artura Grottgera na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie.

— Może być, ale to wszystko nie zmienia faktu, że muszę napisać...

— Do dwudziestu ciotek i do dwudziestu wujów — razem — listów czterdzieści! A ponieważ przy takiej

ilości o jeden list mniej lub więcej nie chodzi, przeto napisz pan czterdziesty i pierwszy do — mnie! I to nie prostą kartkę z p. N.. R., tylko poetyczne złożenie najserdeczniejszych życzeń, na arkuszu ozdobionym podkową, lub czterolistną koniczyną albo...

— Dobrze, dobrze! I czegóż pani życzyć?

— Co najmniej wygrania wielkiego losu...

— Ależ ja myślę — nie, pani sama mówiła, że nie należy życzyć nadzwyczajnych rzeczy, że mamy pragnąć, aby nam zostało to, co posiadamy, że mamy z czego żyć, a tymczasem zaraz z góry wielki los...

— Ba, od przybytku głowa nie boli...

Empa.

Serce, a zmysły.

(Z reminiscencyi przedświątecznych.)

Wyostrzywszy nóż mocno kończasty i sprawdziwszy jeszcze przedtem wytrzymałość klingi, wbiła mu go w środek głowy po samą prawie rękojeść, a ponieważ z bolu rzucał się mocno, chcąc snać ukrócić jego cierpienia, jednem cięciem rozpruła mu brzuch i wydobyła wnętrzności; następnie pewnym ruchem i bez chwili namysłu wyłupiła mu oczy, poczem — to już przechodzi granice wytrzymałości najbardziej zahartowanych nerwów! — zaczęła go powoli oskrobywać ze skóry.

— Herodiada? Judyta?

— Nie!

To moja Nusia słodka, z zakasanymi po białe łokcie rękawami, z czarującym, jak zwykle uśmieszkiem sprawiała mi na święta — *szczupaka.*

Przypatrując się tym czynnościom, wsparty o uszak drzwi kuchennych, śledziłem męki biednego zwierzęcia mordowanego tak bez miłosierdzia. Widziałem drgające jego członki i jamę ustną rozwartą szeroko kurczem przedśmiertnym. Cała natura wzdrygała się we mnie.

— Co czynisz nieszczęsna?! zawołałem głosem ponurym.

— Jakto co czynię? — odszczebiotał mi srebrny dyszkancik — sprawiam dla ciebie ryby mój żarłoczku.

— Ależ czyż godzi się zabijać tak bez miłosierdzia?!

Metaliczny śmieszek mojej Nusi napełnił całą kuchnię i stał się ogromnie zaraźliwy, bo i kucharka i służący rehotali się, jak najęci.

— Cóżeś ty chciał Stasieńku, by dać ci żywe ryby? To doprawdy pyszne, to doskonałe, jak żeś mnie ubawił serdecznie!

Drażnił mnie do żywego ten śmiech szyderski, śmiech, w którym czułem wyrafinowaną brutalność kanibalizmu ludzi t. z. „cywilizowanych“ i w tej chwili dojrzał już we mnie zamiar.

— Raczej tylko jarzyny! raczej kotlety z marchwi i szpinaku, rozbratle z rzepy i kalarepy, niż być powodem takiego mordu i takich męczarni!

Tymczasem moja Nusia skończywszy swe inkwizycyjne roboty stanęła przedemną z minką wesołą i nastawiwszy mi różowe pysio — rzekła:

— Jestem gotowa... pocałuj... podziękuj...

Uczyniłem, jak chciała...

Dotknąłem jej twarzy zimnemi usty...

— Mocniej, serdeczniej... przecież męczyłam się dla ciebie.

— A teraz powiedz mi Stasienku — rzekła kręcąc filuternie główką — jakiego chcesz szczupaka? smażonego? czy w chrzanowym sosie ...

Zaczyna się walka, bój na śmierć i życie, bój straszny, zażarty: *serca i zmysłów*, który zda się trwa wieki...

— No decyduj się nudziarzu: smażony? czy w chrzanowym sosie?

— Nie... nie... niech będzie w chrzanowym sosie — odparłem — cichym, drżącym głosem, w którym czuć było wyraźnie... jak w tej chwili okropnie sam sobą pogardzam.

Obrazek zimowy.

Hej na dworze zawierucha,
Wicher wyje w pędzie...
Na kominie ogień bucha,
Przy nim babcia przędzie...

W starczej dłoni niby fryga
Tak wrzeciono lata,
A w kominie iskra miga
Strzela niczem z bata...

Do staruszki nóg gromadka
Wnucząt się przytula...
Płynie nitka, płynie gadka
Z życia Ćwieczka — króla...

Dziatwa słucha... W myśli waży
Każde słowo chciwie,
Wichr na dworze szumi, gwarzy
Jęczy rozpaczliwie...

„Jakoś dawniej przed latami
Było lepiej przecie...“
Zaszły oczy babci łzami
Niby rosą kwiecie...

A na dworze zawierucha,
Wicher wyje w pędzie,
To ucicha, to wybucha,
Sypie śniegiem wszędzie...

Józef Trawiński.

Akademicki Komitet dla sprowadzenia zwłok Juliusza Słowackiego do kraju w Krakowie

nadsyła nam następujące pismo:

Od szeregu lat żyje w społeczeństwie polskiem myśl, — potężniejące coraz bardziej uczucie, — wola, by drogie prochy Juliusza Słowackiego przewieść do ojczyzny, aby po długich latach wygnania spoczęły wreszcie wśród swoich, wśród kochających serc współbraci.

Idąc za tym powszechnym głosem, „Akademicki Komitet dla sprowadzenia zwłok J. Słowackiego do kraju“ od dziesięciu blisko lat pracuje bezustannie nad zgromadzeniem potrzebnego funduszu, by wreszcie urzeczywistnić to gorące pragnienie, wypełnić ten narodowy obowiązek.

I oto zbliża się chwila, zbliża się najstosowniejsza ku temu pora, dzień setnej rocznicy urodzin wieszcza.

I teraz, gdy się zbliżamy już do celu, stajemy wobec pytania tak zasadniczego, że uważamy sobie za święty obowiązek, by po odpowiedź zwrócić się do całego społeczeństwa polskiego. Niech ono da wyraz swoim uczuciom, niech zawyrokuje, gdzie mają spocząć prochy „sternika duchami napełnionej łodzi“, niech wskaże miejsce spoczynku, godne królewskiej szaty Jego ducha.

Co do nas, to pierwszą naszą myślą wprost instynktowym odruchem, było to, że Wawel i jedynie tylko Wawel jest tą świątynią godną, by przechować te najdroższe szczątki, że tylko tam, w tej „piastowej świetlicy“, winny spocząć prochy tego, który zostawił po sobie ową „moc i pieśń, która serce przeobraża i niewolnika przedzierżga w człowieka“...

Ale wyłoniły się inne pomysły uczczenia tych drogich pamiątek. Jedni pragnęliby złożyć je wśród chmur, gdzieś na szczycie Tatr, inni w akademickim kościele św. Anny, inni wreszcie na Wawelu, ale poza obrębem Katedry.

Wobec tego zwracamy się dziś do całego społeczeństwa polskiego z pytaniem, gdzie złożyć te święte prochy.

Niech każdy, komu imię Jego drogie, niech każdy kto wspinał się za Nim po niebotycznych wyżynach ducha, kto z Nim cierpiał i wierzył, ko-

chał i nienawidził, kim wstrząsał dreszcz zapału na brzmienie Jego słów, — niech każdy wypowie swe zdanie, — niech się stanie wola całego Narodu.

A teraz zwracamy się jeszcze raz do wszystkich. Niech każdy spieszy z datkiem choćby najdrobniejszym, byleby wszyscy. Niech to wielkie dzieło ekspijacyi, dzieło hołdu i wdzięczności, będzie czynem całego Narodu, wyrazem Jego uczuć i woli.

Pamiętajmy o żywych, ale nie zapominajmy o zmarłych, bo „jakże zmartwychwstaną serca umarłe, jeżeli ich nie ukochają żywe“.

Odpowiedzi w sprawie ankiety prosimy nadsyłać na ręce „Akadem. Komitetu dla sprowadzenia zwłok J. Słowackiego do kraju“, Kraków, Uniwersytet Jagiell., najdalej do dnia 1-go marca 1908 r., poczem Komitet zebrawszy je w obszerny referat, opublikuje w dziennikach.

Pod tymże samym adresem prosimy o nadsyłanie datków na sprowadzenie zwłok Juliusza Słowackiego i budowę dlań grobowca.

Za komitet:

Wincenty Wysocki, sekretarz. *Dr. Stefan Góra*, prezes.

Od Komitetu legatu imienia Wyspiańskiego otrzymujemy następującą odezwę:

Do Społeczeństwa.

„— — piękna to młodość, co w trzebój się ciska“.

Wyspiański: „Achilleis“.

Śmiertelne prochy wielkiego Twórcy zamknęła trumna; na Jego cześć rozległy się hymny. Czcić jednak Tego, który chłostał małość i słabość, który sławił Moc i opiewał Czyn, nie wolno pięknemi słowy. Wyspiańskiego uczcić należy czynem, któryby trwał wciąż siłą konieczności.

Jednym z tych czynów niech będzie walka z gruźlicą, która zagraża podwalinom przyszłości przez dziesiątkowanie młodzieży. Rozszerza się ona zatrważająco i pochłania najczęściej tych, co najwyższy lot zakreślają myślom i do wzniosłych sposobią się czynów. Giną — i niszczeje ta „piękna młodość, co w przebój się ciska.“

Ratować ją i umacniać fizycznie ma Tow. Domu Zdrowia uczącej się młodzieży polskiej „Pomoc Bratnia“ w Zakopanem. Rok rocznie zgłaszają się doń setki uczącej się młodzieży, lecz otrzymuje ją tylko kilkudziesięciu; reszta, opuszczona przez społeczeństwo, powraca w mury miejskie lub do chat wieśniaczych, skazana na powolne konanie.

Wyspiańskiego przedwcześnie wydarła nam choroba. W dniu Jego śmierci wydała młodzież hasło do walki z tym wrogiem. Bronią w tej walce będzie legat imienia Wyspiańskiego przy Towarzystwie „Pomoc Bratnia“ w Zakopanem, — lecz skuteczną bronią stanie się tylki wtedy, gdy całe społeczeństwo odpowie na hasło w sposób godny wielkiego Imienia.

Kraków, dnia 12 grudnia 1907 r.

W skład Komitetu wchodzą Towarzystwa młodzieży:

„Biuro informacyjne słuchaczek U. J.“ „Czytelnia Akademicka im. A. Mickiewicza.“ „Ethos.“ „Grupa krakowska Tow. „Pomoc Bratnia“ w Zakopanem.“ „Koło akad. T. S. L.“ „Koło akad. art. miłośników dramatu klasycznego.“ „Kółko chemików.“ „Kółko germanistów.“ „Kółko filologiczne.“ „Kółko filozoficzne.“ „Kółko historyczne.“ „Kółko matematyczno-fizyczne“ „Kółko pedagogiczne.“ „Kółko przyrodników.“ „Kółko rolników.“ „Kółko Slawistów.“ Oddział akad. „Eleuteryi.“ „Oddział akad. T. O. L.“ „Oddział młodzieży Uniw. lud. im. A. Mickiewicza.“ „Sodalicya Maryańska akademicka.“ „Spójnia,“ stow. młodzieży postępowej w Krakowie.“ „Tow. Biblioteki sł. medycyny.“ „Tow. Biblioteki st. prawa.“ „Tow. Chór Akademicki.“ „Tow. Wzajemnej Pomocy słuchaczek kursów im. Baranieckiego.“ „Tow. Wzajemnej Pomocy U. U. J.“ „Zjednoczenie,“ Tow. mł. pol. kształcącej się w wyższych zakładach nauk.. w Krakowie. „Związek Akademicki.“

Adres Komitetu: *Kraków, Uniwersytet.*

W zbieraniu składek pośredniczą Redakcye pism polskich.

Od Redakcyi. W pośredniczeniu tem służy chętnie i redakcya „Pracy.“

Złote listki.

Talent jest od Boga i w tem nie ma zasługi; ale pracowitość jest wyrobem własnej woli, jest skutkiem przekonania, że daru bożego dla dobra i pożytku bliźnich używać należy.

Józef Korzeniowski.

* * *

Żadna na świecie wyższość talentów nie rozwiązuje z obowiązków powszechnych.

J. I. Kraszewski.

Nowe książki.

Zwracamy uwagę na ogłoszenie p. K. Kozłowskiego o wydawnictwach jego. O dziełku *„Słowiańskie powieści i podania ludowe“* wspominaliśmy w przedostatnim num. „Pracy,“ dziś dodajemy jeszcze, iż celem dziełka tego jest zapoznanie bliższe szerszego koła publiczności polskiej z wielką rodziną słowiańską, oraz obudzenia w nas uczucia miłości do pobratymców naszych. Wszak największy z naszych poetów, A. Mickiewicz, był szczerym przyjacielem Słowian i tak samo i Staszyc, umysł trzeźwy i daleko patrzący w przyszłość, a nasz filozof Trentowski widział w Słowiańszczyźnie jaśniejszą przyszłość całej ludzkości. Chcąc poznać bliżej Słowian, od ich podań i legend zacząć należy, bo to są najstarsze płody życia duchowego, w nich też najwięcej cech wspólnych wszystkim Słowianom, dopiero później idą dzieje, literatura i stosunki społeczne. Legend i powiastek zawiera dziełko to kilkadziesiąt; są one tłomaczone z oryginału i wcale nieznane — a więc zainteresują czytelnika. Nie mało przyczynia się do ozdoby tego wydawnictwa papier biały, druk staranny a mianowicie liczne i piękne illustracye. Jest ich około 30, wykonał je utalentowany rysownik i malarz p. Gardzielewski. Cena bardzo przystępna, wynosi tylko 1 mk. — z oprawą 1,40 mk.

Polecamy również nowe wydawnictwo p. Kozłowskiego: *„Wojsko polskie“* z 1830 i 31 r. Przed kilkunastu laty wydał on także *wojsko polskie,* ale cena była wysoka, bo egzemplarz kosztował 40 m. — obecnie wynosi tylko 2,50 mk. — Jest to dużego formatu książka, która zawiera 16 kolorowych obrazów, a na każdym obrazie są wojskowi różnej broni, w ślicznych, malowniczych mundurach. Prócz tego dodana krótka historya wojskowości polskiej od czasów przedchrześcijańskich aż do upadku ojczyzny naszej. W tej części jest 13 rycin, które przedstawiają ówczesne rycerstwo i uzbrojenie według wiarogodnych źródeł. Ponieważ polski żołnierz tylu czynami bohaterskiemi wsławił imię naszego narodu, jest obowiązkiem naszym poznać wojsko polskie i jego dzieje.

Trzecie wydawnictwo p. Kozłowskiego p. t. *„Złote ziarna“* zawiera głębokie myśli naszych poetów i uczonych. Podane tam są zdrowe rady i głębokie nauki, z których czytelnik korzystać może, wzbogacając swoją wiedzę i doskonaląc swój charakter. Ja-

każ n. p. zbawienną radę daje nam uczony mąż Józef Supiński w aforyzmie w *„Złotych ziarnach“* przytoczonym — *na czas obecny!*

„Cóż pozostaje narodowi“ — pisze on — „który — czy to winą własną, czy skutkiem niezależnych od niego wypadków, stanął już nad przepaścią, a przecież odwrócić się od niej ma niezachwiane i męskie postanowienie? Pozostaje mu do czynienia to, co czynić musi pojedyńczy człowiek, którego młodość bądź własną winą, bądź nietroskliwością rodziców zaniedbaną była, który przecież, lubo już nieco późno, chce niedopuścić swego poniżenia i upadku; *on musi zacząć od początku, zatopić się w pracy; odmówić sobie przemijających przyjemności, wykształcić swój umysł na drodze rzetelnie użytecznej, i gromadzić dla starości własnej i potomków swoich tem troskliwiej, im później o nich pomyślał*“.

Aby się każdy do tej złotej rady wielkiego myśliciela zastosować zechciał!

I tę książeczkę piękną i pożyteczną gorąco polecamy.

---

* **W pensyonacie** *dla młodzieży żeńskiej pani Heleny Rzepeckiej* w Poznaniu przy ulicy św. Marcina 9. II. jest jeszcze od Nowego Roku kilka miejsc wolnych dla panienek bądź uczennic szkolnych, bądź też pragnących dokształcić się ogólnie w jakim kierunku praktycznym . Warunki przystępne.

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 29-go grudnia 1590 walny sejm w Warszawie. — 1655 konfederacya tyszowiecka.

Dnia 30-go grudnia 1643 potwierdzenie traktatów handlowych Kurlandyi. — 1823 car pozbawia województwo kaliskie udziału w reprezentacyi.

Dnia 31-go grudnia 1455 pokój w Brześciu z Krzyżakami. — 1692 otwarcie sejmu w Grodnie. — 1783 śmierć hetmana Józefa Sosnowskiego.

Dnia 1-go stycznia 1453 Tatarzy wpadają do Polski. — 1467 urodzenie Zygmunta I. — 1657 Rakoczy najeżdża granice Rzeczypospolitej.

Dnia 2-go stycznia 1491 bitwa z Węgrami pod Koszycami. — 1662 konfederacya wojska pod Swiderskim w Lublinie.

Dnia 3-go stycznia 1601 zwycięstwo nad Szwedami pod Wenden. — 1730 śmierć hetmana Ludwika Pocieja — 1795 deklaracya Austryi i Rosyi do zupełnego rozbioru Polski.

Dnia 4-go stycznia 1517 sejm pruski przez Zygmunta I. zwołany do Malborga. — 1663 pobicie Kozaków pod Starymirem. — 1744 przymierze Katarzyny z Fryderykiem warujące elekcyą Poniatowskiego. — 1771 pobicie Moskali pod Częstochową.

Ostatnim

w bieżącym kwartale i roku jest niniejszy zeszyt „Pracy“, więc czas największy

zapisać „Pracę“ na nowy kwartał na poczcie.

Kwit pocztowy zamieszczony jest między ogłoszeniami.

Bezpłatnie

otrzymają nowi abonenci początek rozpoczętej w zeszłym numerze nowej powieści p. t.: „Trwoga przed życiem czyli Bohaterska Matka.“ Na przesyłkę prosimy załączyć przy zamówieniu znaczek pięciofenygowy.

Od Redakcyi.

Wszystkim czytelnikom, przyjaciołom, zwolennikom oraz współpracownikom „Pracy“ przesyłamy najserdeczniejsze noworoczne życzenia i składamy jednocześnie najserdeczniejsze podziękowanie za nadesłane nam liczne z bliska i z daleka życzenia świąteczne.

Redakcya.

Humor i satyra.

Przychodzi Nowy Roczek.

Przychodzi Nowy Roczek
W promiennej aureoli,
Każdy go widzi chętnie,
Każdy go dzisiaj woli.

Każdy go dzisiaj woli,
Z natury rzecz jest taka:
Że stary na ostatek
Od świata ma — kopniaka.

Dziadulo też do życia
Pretensyi już nie rości,
Więc wlecze próżne sakwy
I zmierza ku wieczności.

A Nowy tęczę złudzeń
Nad drogą swą rozpina
I wpada między tłumy
W przebraniu Arlekina.

Cieszy się dobry ludek
I czci go wiwatami:
— Bywaj nam gościu miły!
Rządź! króluj między nami!

Stary, nim skończy drogę,
Przed kresem chwilkę stanie
I takie do Nowego
Ostatnie rzecze zdanie:

— „Nie ciesz się nadaremnie,
Licz się ze Starych przestrogą:
Czy złym ,czy dobrym będziesz,
W rok weźmiesz w plecy nogą.“

* * *

Na Sylwestra.

Chłopak w restauracyi. Czem mogę służyć panu dobrodziejowi?

Gość (urażony). Mój kochany! jestem tu u was na każdego Sylwestra codziennym gościem... to mógłbyś już bez pytania wiedzieć, co piję!

* * *

Policyant. Nie stój pan pod latarnią, ale idź ładnie, prosto do domu!

Wstawiony pan. Dobrze to panu gadać!... Spróbuj pan wypić szesnaście koniaków i trzy butelki wina, a potem idź ładnie i „prosto“ do domu!

* * *

Klarnecista: Pyszna była zabawa i pyszny zarobek we święta... trzy dni z rzędu!

— Dwa przecie tylko!!

— Jakto dwa? w pierwszy dzień u Marcinów, w drugi dzień u Michałów — a trzeciego dnia na pogrzebie młodego Marcina, którego po pijanemu utłukli pierwszego wieczora.

Trwoga przed życiem

czyli

Bohaterska Matka.

Powieść z francuskiego, uwieńczona nagrodą przez akademią francuską, tłomaczyła *P. O.*

(Ciąg dalszy.)

— A ja? — zawołał Jan wesoło. — Żądam też tego, co mi się należy!

— Ah, to ty Janie!

I ręce obydwóch przyjaciół w gorącym spotkały się uścisku.! Jan, sam głęboko wzruszony, odzyskał wnet swój dobry humor i rzekł z uśmiechem:

— Do widzenia! Uciekam, bo pociąg mój odjeżdża!

— Dokąd jedziesz?

Jan obrócił się raz jeszcze.

— Do Aix, — odpowiedział. — Do teatru maryonetek!

I wskazał ręką publiczność, cisnącą się tłumnie do pociągu „teatralnego.“ Marceli spojrzał obojętnie na wystrojone panie i zwrócił się znów do matki, lecz Paula, oglądając się, spotrzegła Alicyą, wychyloną z okna wagonu i przesyłającą jej ręką pożegnanie. Sama grzeczność nakazywała jej odpowiedzieć na to, lecz uczyniła to bardzo pobieżnie i niechętnie, jak gdyby niedowierzała takiej uprzejmości. Nieszczęście uczyniło ją dumną i wrażliwą. Podejrzewała ludzi o nieszczerość, lękała się szyderstwa i obrażała się często na tych, którzy jej wcale obrazić nie chcieli.

— Co znaczy ta grzeczność Alicyi, — myślała.

I czarne jej oczy spoczęły na bracie idącym naprzód z matką.

— Za wiele majątku, a za mało siły i woli! — powiedziała sobie w duszy.

Gdy Marceli ujrzał bryczkę Trelaza, zawołał uradowany:

— Ah! Otóż nasz stary ekwipaż!

— Jest to jedyny, jaki mogliśmy zatrzymać, — wyjaśniła mu pani Guibert, pragnąc się uniewinnić za coś, czego nie popełniła, a co jej się winą wydawało.

Na tę odpowiedź nie był Marceli przygotowany. Stara bryczka przypominała mu jego lata dziecięce, swobodne i wesołe, a teraz stawała się znakiem smutnego położenia jego rodziny. Twarz jego pociemniała. Poznał od razu, że stosunki majątkowe bardzo są liche, i że oprócz żałoby zawitał jeszcze jeden smutny gość do jego domu, to jest: bieda. Nie mając żadnych osobistych wymagań, przyzwyczajony do zadowolenia się byle czem, cierpiał teraz podwójnie na myśl o niedostatku matki i siostry. Pani Guibert zaś wyrzucała sobie gorzko swoją nieuwagę i myślała z żalem:

— Trzeba było wynająć na dworcu powóz i uczcić tem chociaż jego przybycie!

Przejechali przez ciche, uśpione Chambery, stolicę Sabaudji. Marceli oddychał z rozkoszą powietrzem ojczystem i patrzał z zachwytem na ozdobę miasta, na wspaniały zamek historyczny, którego wysokie i wysmukłe wieże odznaczały się na niebie i wyglądały, jak straże wojskowe. Po za miastem wywołała sławna bryka Trelaza całe mnóstwo wspomnień. Krajobraz, przedstawiający się jego oczom przypomniał mu szczęśliwą młodość, pełną namiętnych marzeń i nadziei — wszystko na co spojrzał, było mu znajomem i przemawiało mu do serca cudownemi, dawno niesłyszanemi słowami. Ile razy przejeżdżał przez lasy Vimines, jak często zachwycał się wspaniałemi drzewami i grą światła na szerokich, ciemnozielonych liściach! Tu, nagie skały Pas-de-la-Fosse, dalej szczyty gór Granier, wyglądające ciekawie z za skał — tam wieże kościołów wiejskich: w Montagnol najwyższa — królująca nad całą okolicą, w Belle Combette wieżyczka delikatna, skromna, biała, zakryta na wpół drzewami, i wieża w Saint-Cassin, ponura, ciemna, i niesympatyczna. Ale dziś wszystko uśmiecha się do niego, wszystko wita młodego bohatera!

Gdy bryczka wjechała na piasczystą drogę wiodącą do Maupas, wysiadł Marceli, aby ulżyć ciężaru starej, zmęczonej klaczy. Szedł prędko pod górę, i minąwszy otwartą bramę, stanął pierwszy w skromnym, wiejskim, trochę nawet wieśniaczym domku, ukrytym jak dawniej, w kłąbach jaśminu, glicynii i róż. Tak jak dawniej wywierały na nim drzewa alei wrażenie poważne i uroczyste i jak dawniej skrzypiał piasek pod jego stopami.

Na progu domu oczekiwał przybycia matki i pomógł jej wejść na schody. I gdy weszli oboje do pokoju, wziął raz jeszcze w objęcia płaczącą kobietę i przycisnął ją czule do serca. Paula również, pozbywszy się przymusu ostatnich kilku godzin, zaczęła płakać. Głowy rodziny nie było, lecz najstarszy syn zupełnie był do ojca podobnym, twarz jego miała ten sam wyraz energii i woli, ten sam uśmiech dobroduszny i tę samą ufność w własną siłę.

Trzy te osoby złączone znów razem, przeżyły w kilku minutach wszelkie cierpienia i wszelkie radości życia ludzkiego.

— — — — — — — — — — — —

Państwo Dulaurens, hrabina Orlandi, Izabela, Alicya i porucznik Marthenay, siedzieli razem w wagonie pierwszej klasy. Izabela zajęła zaraz miejsce przy oknie i oświadczyła stanowczo, że naprzeciwko niej musi usiąść Jan Berlier. A gdy Jan przyszedł w ostatniej chwili, kiedy konduktor zamykał już drzwi, przyjęła go młoda dziewczyna bardzo niełaskawie.

— To wiele, — rzekła, — że nie zostałeś pan na peronie, aby ściskać wszystkich przechodzących mężczyzn!

Jan uśmiechnął się.

— Czemu tylko mężczyzn? Nie jestem od tego, aby i pań nie pocałować!

Ale Izabela nie dała za wygraną.

— Tak się pan witałeś serdecznie z tymi Guibertami, jak gdyby już innych ludzi nie było na świecie! Śmieszne, doprawdy!

Alicya Dulaurens odczuwała całą niestosowność tych wyrzutów, lecz nie miała odwagi zaprzeczenia im. Jan

przecież nie poddał się tak prędko. W utarczkach swoich z Izabelą posługiwał się chętnie złośliwością i szyderstwem, co rozpieszczoną i śmiałą dziewczynę niezmiernie gniewało i — nęciło.

— To prawda, — rzekł, — że Guibertowie, ujrzawszy się tu po trzech latach rozłączenia i żałoby, nie starali się wcale o pozyskanie twej łaski. Piękny kapitan nie raczył nawet spojrzeć na ciebie, moja śliczna pani!

— Ah, piękny kapitan, — zawołała Izabela szyderczo.

— On jest łysy, — odezwał się Marthenay niedbale, podgarniając swe włosy, proste i gęste jak szczotka.

— Tak, wyłysiał w koloniach. W francuskim garnizonie byłby sobie bez wątpienia zachował bujną czuprynę.

Izabela nie uważała się wcale za zwyciężoną. Wrodzona złośliwość pobudzała ją do jeszcze ostrzejszego zaczepienia przyjaciół Jana.

— Matka pańskiego kapitana, — rzekła, — jest po prostu dziwolągiem. Czy słyszał kto: ona nigdy jeszcze nie była w teatrze! Czem się więc zajmowała w życiu?

Jan, który panią Guibert szczerze kochał i szanował, rozgniewał się teraz na dobre.

— Zajmowała się tem, — odpowiedział ostro, — czem się hrabianka Orlandi nigdy nie zajmie: ona żyła dla innych!

— Ja tego życiem nie nazywam!

— Myślisz pani? Ja zaś sądzę, że pani Guibert żyła lepiej, niż pani żyć będziesz, chociażbyś i stu lat się doczekała!

— O proszę! Spodziewam się właśnie czegoś innego!

— Tak, będziesz pani miała rozrywki, wrażenia, ale to się życiem nie nazywa. Czy jesteś zdolną do jakiegokolwiekbądź poświęcenia?

Lecz nie chcąc zanadto jej drażnić, nie czekał już na odpowiedź, tylko rozśmiał się wesoło i dodał:

— Nie umiałabyś pani nawet wyjść za mąż z miłości.

— Naturalnie że nie — odrzekła lekkomyślnie. — Małżeństwo bez pieniędzy, tylko z miłości? Dziękuję! Suchy chleb i płócienne suknie! Dziękuję!

I śmiała się głośno, złośliwie, odsłaniając dwa rzędy białych ząbków, tak ostrych, jak ząbki małego, drapieżnego zwierzątka.

— Zgódźmy się, — prosił Jan. — Daj mi pani rękę na znak pokoju!

Izabela podała mu rękę, z której poprzednio ściągnęła rękawiczkę. Jan ujął ją i wpatrzył się w nią z pewną uwagą.

— Widzę, — odezwał się po chwili uroczyście, — w liniach tej rączki, że zaślubisz pani bardzo brzydkiego czterdziestoletniego milionera. Ale dopiero po ślubie okaże się prawdziwy jego charakter — będzie to straszny skąpiec! Człowiek zawsze bywa karany tem, czem grzeszy.

Całe towarzystwo zaczęło się śmiać i rozmowa stała się ogólną. Izabela odzyskała także swój dobry humor i zawołała wesoło:

— Tem gorzej dla skąpca! Sprzeniewierzę mu się!

— Ze mną! Chcesz pani? — spytał Jan rozweselony.

— Z panem? Bardzo chętnie!

I znów odsłoniła w uśmiechu ostre ząbki. Spojrzała przytem na Jana zalotnie i wyzywająco, nie zwracając najmniejszej uwagi na resztę towarzystwa.

Alicya rumieniła się za przyjaciółkę. Nigdy jeszcze nie słyszała tak śmiałych słów, lecz wiedząc, że wszelkie jej prośby o zmienienie tematu byłyby daremne, usunęła się w swój kącik i siedziała z zamkniętemi oczami, myśląc o małżeństwie z miłości, którem Izabela pogardzała, a które jej się szczytem szczęścia wydawało. Główna osoba jej marzeń miała twarz i postać młodego bohatera, który tak głębokie na niej wywarł wrażenie! Pani Dulaurens tymczasem układała sobie w myśli program zabawy, którą w najbliższym czasie urządzić zamierzała i łamała sobie głowę nad tem, jak i czem by zabawę tę można uświetnić. Wynikiem jej rozmyślań były słowa, zwrócone do syna Klemensa:

— Zdaje się, że to człowiek wielkich zasług! Trzeba go nam zaprosić!

Mąż jej słyszał to i skinął głową na znak zadowolenia. Równocześnie zaś szepnął hrabinie Orlandi:

— Przedewszystkiem trzeba myśleć o własnym spokoju i odsuwać od siebie wszelkie wzruszenia. Na tem polega sztuka życia!

ROZDZIAŁ 2.

Brat i siostra.

Przyjaźń brata i siostry, to rzecz dziwna, zupełnie odrębna. Obok wszelkiej poufałości i wzajemnej otwartości jest spokojną i dla tego trwa wiecznie i nie podlega żadnym burzom i zmianom. Odróżnia się jednak od przyjaźni dwojga osób tej samej płci, jakąś dyskrecyą i czystością myśli i uczuć. Brat i siostra mają wspólną młodość, więc rozumieją się półsłowem i spojrzeniem, oddychają tem samem rodzinnem powietrzem — więc mają dużo równych wspomnień przeszłości. Przyjaźń brata i siostry ma charakter takiej szczerości i takiego nieograniczonego zaufania, że nawet miłość może jej tego pozazdrościć!

Marceli i Paula siedzieli w ogrodzie w Maupas i rozmawiali. W tych kilku dniach, które spędzili teraz razem, przekonali się oboje z zadowoleniem, że stali się dojrzałymi pod każdym względem, i że ani rozłączenie, ani oddalenie nie wpłynęło ujemnie na ich przywiązanie i zgodność charakterów.

Myśli ich i uczucia były teraz inne jak dawniej, ale zawsze z sobą zgodne.

— Ach, jak mi dobrze w domu, — odezwał się Marceli. — Nie mam chęci do pracy! Czuję, że lenistwo bardzo mi służy!

Młody kapitan wyglądał mizernie, wychudł znacznie, i widać było, że potrzebował spokoju i wypoczynku. Pomimo żelaznego zdrowia czuł skutki wojny afrykańskiej i długiego pobytu w koloniach. Miewał raz po raz febrę, chociaż co raz rzadziej i był przekonanym, że świeże i zdrowe powietrze sabaudzkie wróci mu dawne siły.

Był to jeden z onych cichych latowych dni na wsi, gdzie ludzie uczuwają nieomal falowanie światła. Żaden listek nie ruszał się. Tylko na szczytach drzew przesunął się czasem leciutki powiew wietrzyka i dotykał liści tak, że odwracały się już to ciemną, już to jasną stroną do promieni słońca. Na okrągłym stole ogrodowym leżały gazety i listy, z których większa część wcale jeszcze otworzoną nie była.

— Zobaczmy, co znów o tobie piszą, — uśmiechnęła się Paula. — Otóż — jaki długi artykuł w „Clairon des Alpes,“ a tu znów inny w „Republikanimie.“ Nie chcesz ich czytać?

— Zmiłuj się, daj mi pokój z gazetami!

— Ale tu są rozmaite zaproszenia! W kasynie oficerskiem jest obiad na twoją cześć. Z Aix-les-Bains przysyłają ci kartę wstępu do parku i zakładu leczniczego. Zaproszenie do Villi Flory. Baronowa Vittoz donosi ci, że przyjmuje co wtorek!

— A co mnie do tego! Nie chcę widzieć nikogo! Chcę żyć spokojnie! Nie złożę nigdzie wizyt!

— Bracie drogi, nic ci to nie pomoże! Jesteś obec-

nie w modzie, i musisz ustąpić! Ludzie rozporządzają tobą — każdy chce mieć trochę udziału w twej sławie!

— Ale wiesz kochanie, że ja o tem mówić nie lubię!

— Więc co chcesz zrobić? Każdy mówi o tobie i o twoich czynach! Pierwszego lepszego dnia odwiedzą nas państwo Dulaurens potem inni znajomi, których nie widzieliśmy w naszym domu od chwili naszego upadku majątkowego!

Paula mówiła to z gorzkim uśmiechem, a piękne jej białe czoło zmarszczyło się lekko. Dumne serce tej dziewczyny nie mogło znieść upokorzenia!

Marceli milczał. Z wszystkich stron cisnęły się tłumnie najrozmaitsze wspomnienia, otaczały go, przemawiały do niego i nuciły mu, jak nieustający śpiew ptasząt.

Jakie szczęście może się równać szczęściu rodzin, mających dużo dzieci? Co zdoła zastąpić rodzicom wesołe krzyki malców, ich głośne, hałaśliwe zabawy, ich śmiech serdeczny? Dzieci takich rodzin spędzają pierwszą młodość w zaczarowanej krainie, której blask ozłaca im życie aż do najpóźniejszej starości. To jest nagroda tych, którzy mają odwagę do życia i do rozkrzewiania życia!...

Marceli uśmiechał się do innego Marcela, małego chłopca, którego widział wyraźnie biegającego po sąsiednich łąkach w hałaśliwem towarzystwie braci i sióstr. I rozpoczął wnet z Paulą cały szereg pytań:

— Pamiętasz?

I słyszał jej pytania:

— Przypominasz sobie? Wiesz jeszcze?.....

Szukał pamięcią w tych dawnych latach, gdzie dusza i serce jeszcze są zagadkami i zakończył znowu:

— Pamiętasz, Paulo? Ale nie, jeszcze cię przecież na świecie nie było! Leżeliśmy tam na trawie, zdaje mi się, że to były nasze pierwsze wakacye gimnazyalne. Ojciec opowiadał nam o bohaterach Troji i o Iliadzie i Odyssei. My naturalnie zabraliśmy się zaraz do odegrania dramatu. Ja byłem raz dzielnym Hektorem, raz znakomitym wynalazcą Ulyssem. Ale Hektor podobał mi się wówczas więcej, był on odważnym i szlachetnym, i smutnym, bo przeczuwał nieuniknione nieszczęście swej ojczyzny. Musiał on wywrzeć głębokie wrażenie na serce dziecka. Gdy później czytałem Homera, zdawało mi się, że odwiedzam dawnego przyjaciela. Kto wie, czy moja skłonność do przygód i nieprzeparta chęć zwiedzania świata nie pochodzą z tych czasów!

— Ale teraz zostaniesz przecież u nas, — zawołała Paula przestraszona. — Mama zestarzała się bardzo, nie zauważyłeś tego?

— Tak, pochyliła się nieco i twarz jej nie jest już tak rumianą, jak dawniej. Ale ty czuwasz nad nią i strzeżesz jej dla nas wszystkich. Ty jesteś naszą podporą, Paulo, ty zastępujesz nas, którzy tułamy się po dalekim świecie!

Paula nic nie odpowiedziała. Słowa brata nie podobały jej się, on sam zaś żałował ich natychmiast, bo czuł, jaki się w nich zawierał egoizm. Z wszystkich dzieci doktora Guiberta, uczuła Paula najwięcej stratę majątku, spowodowaną nieszczęściem jednego z braci ojca. Paula straciła cały swój posag, a tem samem nadzieję wyjścia za mąż. Bracia zaś liczyli na jej poświęcenie się i wyrzeczenie wszelkiego szczęścia i uważali za zupełnie naturalne, że pozostanie na zawsze towarzyszką starej matki. Czy miała zawsze zapominać o sobie i nie iść nigdy za popędem uczucia, które i w jej sercu zaczynało się budzić?

Marceli wpatrywał się długo w ukochaną siostrę. Z niekłamanym podziwem patrzał na jej wysmukłą a jednak silną postać, na jej białą, delikatną płeć, której przejrzystość uwydatniała jeszcze więcej czarna suknia, i na czarne, głębokie oczy, — oczy kobiety, znającej życie i nie mającej strachu przed niem! Paula była uosobieniem dumy, czystości i szlachetności. I ona nie miałaby być kochaną?

Oczy obojga spotkały się.

— Jak ja lubię twoje piękne, czarne włosy, — rzekł Marceli z uśmiechem. — Nie widziałem jeszcze nigdy tak czarnych. Nosisz ich ciężkie sploty z dumą królowej. Pamiętasz, gdy byłaś małą i cała ta czarna chmura spadała ci na plecy, jak wieśniaczki wracające z targu stawały i mówiły: — Kto widział takiemu małemu dziecku zawieszać taką perukę! — A gdy bona nasza krzyczała rozgniewana: — Co perukę? Pójdźcie i ciągnijcie! Zobaczycie, czy wam w rękach zostanie! — Wtedy przychodziły i wykonywały jej rozkaz tak dokładnie, że z płaczem uciekałaś do domu.

Pani Guibert schodziła wolno ze schodów, trzymając się mocno żelaznej poręczy i stawiając obie nogi na każdym stopniu. Potem zbliżyła się do swoich dzieci. Jak jesienny kwiatek zdobi pusty ogród, tak od czasu przybycia Marcelego rozjaśniał serdeczny uśmiech twarz starej kobiety. Marceli pospieszył jej naprzeciwko i zaprowadził ją do ławki, stojącej w cieniu.

— Wygodnie ci, mamo?

Uśmiech znikł na chwilę z ust pani Guibert.

— Drogi, kochany synu! Jak podobnym jesteś do ojca!

Twarz kapitana spoważniała także.

— Już półtora roku minęło, jak nas opuścił, — mówiła pani Guibert. — Ach, ten wieczór w Ambato! Nigdy mi nie wyjdzie z pamięci! Biegałam w około łóżka, wołałam na niego, wymieniałam wasze imiona. Czułam śmierć idącą za mną..........

Przez chwilę głuche zapanowało milczenie. Potem zaczęła pani Guibert znowu:

— Półtora roku! Czy to możliwe, abym tak długo żyła bez niego! Ale ja muszę żyć dla Pauli! O drogie dzieci moje, do ostatniej chwili mego życia będę dziękować Bogu za to, że mi dał takiego męża, takich synów i takie córki!

I otarłszy oczy, zaczęła opowiadać smutną historyę straty majątku, na co Marceli już dawno czekał.

— Nieszczęście waszego stryja Marka było początkiem wszystkich naszych kłopotów. Twój ojciec był uosobieniem siły, ufności i pracy. Im ciężej pracował, tem weselszy wracał do domu. A wy dzieci, chowałyście się zdrowo i dobrze.......

— Tak, wszyscy nam zazdrościli, — wtrąciła Paula.

Marceli zaś, równie dumny, dodał:

— Lepsza zazdrość, niż litość!

— Bank waszego stryja w Annecy stał bardzo dobrze i cieszył się bardzo dobrą opinią. Ale jeden z urzędników, posiadających całe zaufanie stryja, uciekł, zabierając wszystkie depozyta i gotówkę. Wtedy, w pierwszem uniesieniu rozpaczy odebrał sobie Marek życie. Nie umiał stawić czoła burzy, którą ucieczka niegodziwego człowieka wywołała, a która byłaby może wnet minęła i popełnił ten czyn okropny. Może Bóg dał mu jeszcze przed śmiercią tyle czasu, że mógł żałować za swój grzech. Wasz ojciec pojechał natychmiast do Annecy, i uporządkował wszystko. Nie zostało ani grosza długu, ale my — musieliśmy poświęcić prawie cały majątek. Uratowaliśmy przynajmniej Maupas, naszą posiadłość rodzinną!

— Tak, — rzekł Marceli. — Maupas jest dla każdego z nas żywym obrazem szczęśliwych lat dziecięcych!

— Zanim ojciec oddał majątek, pytał was wszystkich, czy pozwalacie na to!

— Tak, przypominam sobie! Było to na początku naszej wyprawy na Madagaskarze. Uważałem to za nadzwyczajną sumienność. Wszelkie sprawy pieniężne są mi zupełnie obojętne!

— Ojciec też i Pauli zapytał.......

— Tak, tak, mamo. Chodziło o nazwisko i o honor!

— Ach dziecko drogie, chodziło także o twoją wyprawę! Nieszczęśliwy koniec waszego stryja zmartwił niezmiernie ojca, jego swoboda znikła na zawsze. Ale podwoił pracy i energii, i gdy tyfus zapanował w Cognin, nie oszczędzał się wcale. Jako ostatni uległ tej strasznej chorobie, gdy siły jego zupełnie już były wyczerpane zmęczeniem i bezsennością. Zaraz w pierwszych dniach swej choroby wiedział, że jest zgubionym, ale nic nie mówił — przekonałam się o tem później. I zrozumiałam go. Śledził on sam przebieg tyfusu i pewnego dnia rzekł do mnie: — nie bój się, Bóg ci dopomoże. — Poprawiłam go, — tak, dopomoże *nam!* — Nic mi na to nie odpowiedział. Bez najmniejszej obawy myślał o zbliżającej się śmierci, i z całą przytomnością umarł w naszych objęciach.

— A ja byłem jedyny, który przy nim w ostatniej godzinie być nie mógł, — szepnął Marceli.

— Stefan przyjechał wtedy właśnie z Tonkinu i Franciszek także. Obok Pauli była jeszcze narzeczona Stefana, Ludwika Saudet.

— A Małgorzata?

— Nie wolno jej było przybyć, — odrzekła pani Guibert smutnie, chociaż bez goryczy. — Nie dostała pozwolenia! Ona poświęciła się Bogu. Od czasu jej wstąpienia do klasztoru nie widzieliśmy jej wcale.

Wszyscy troje umilkli teraz, przenosząc się myślami w przeszłość. Lecz w około wrzało życie w całej przyrodzie. Liść, spalony już słońcem, spadł z drzewa, wolno, jak gdyby podtrzymywany gorącem, Paula wskazała na niego i rzekła:

— Oto jesień!

Marceli westchnął.

— Liść ten, — szepnął, — doczekał chociaż lata — inne więdną już na wiosnę!

Miał on w tej chwili na myśli swoją przedwcześnie zmarłą siostrę Teresę i siebie — bo już i do niego zbliżała się śmierć często. Ale odepchnął od siebie ponure jakieś przeczucia i rzekł:

— Czy żyjemy długo, czy nie, musimy śmiało i odważnie wypełniać obowiązki. Tak postępował ojciec, i pamięć jego ożywi moją odwagę i wzmocni poczucie obowiązku.

A chcąc zwrócić rozmowę na inny temat, zapytał:

— Czy Stefan wnet potem wrócił do Tonkinu?

— Tak, — odpowiedziała pani Guibert. — Przypominasz sobie pewnie, że pierwszą podróż tamdotąd odbył z polecenia lyońskiego Towarzystwa badaczy zachodnio azyatyckich wybrzeży morskich. Stwierdził tam bogactwo kopalni, i wartość i wydajność ziemi, opowiadał nam nawet o cudach onych dzikich i niezamieszkałych wybrzeży. Osiedlił się z żoną nad zatoką Along. Wszakże tak się ta zatoka nazywa, nieprawda, Paulo?

Młoda dziewczyna skinęła głową.

— Dogląda on tam kopalni węgla, a równocześnie założył na własną rękę plantacye ryżu i pomidorów. Franciszek jest u niego, i wasz kuzyn Karol, syn stryja Marka, także. Bóg błogosławi im, Stefan przysyła nam dużo pieniędzy!

— A żona jego pojechała chętnie z nim?

— Ludwika jest odważną i rozsądną. Tydzień po ślubie puścili się w podróż. Teraz mają synka, a ja wnuka, którego nigdy pewnie nie zobaczę, a którego kocham z całego serca!

— Gdy Ludwika wychodziła za mąż, zapanowało w całem Chambery ogromne wzburzenie, — dodała Paula. — Wszystkie panie żałowały jej matkę. „Jak możesz pani pozwolić na takie małżeństwo! Jak możesz ją wysyłać tak daleko w świat!“ I oskarżały ją wprost o brak serca. Ale pani Sandet widziała szczęście Ludwiki i to jej wystarczało. Inni myślą tylko o sobie i o swem spokoju. Pan Dulaurens twierdzi także, że przedewszystkiem trzeba dbać o własny spokój.

Zdaje się, że nazwisko to, wymówione przypadkiem, sprowadziło tego, który je nosił. O wilku była mowa i wilk się pokazał, w tejże bowiem chwili dał się słyszeć turkot zajeżdżającego powozu i Paula poznała wspaniałą karetę państwa Dulaurens.

— O ile zacna ta kobieta miała odwagi w walce z życiem, o tyle była nieśmiałą i bojaźliwą w tak zwanem „towarzystwie.“

— Ah, oni przyjeżdżają nie do nas, tylko do naszego bohatera — rozśmiała się Paula.

Wstali jednak wszyscy i poszli naprzeciw gości. Pani Dulaurens wysiadła pierwsza i witając się z panią Guibert, zdradziła natychmiast cel swego przybycia.

— Ah, pani! — zawołała, — jak możesz być dumną z takiego syna!

Pani Dulaurens była córką barona Velincourt i nie zapominała nigdy i nigdzie swego wysokiego pochodzenia. Wizyty swoje uważała też jako dowód wielkiej łaski, i lubiła okazywać każdemu pewną protekcyonalną uprzejmość, właściwą najwyższej arystokracyi.

Pan Dulaurens ginął zupełnie przy swej okazałej małżonce, dla tego nikt na niego nie zważał i nikt nie odpowiadał na jego ukłony. Całe jego ubranie było szare, nawet trzewiki i kapelusz. Instynktem wybrał dla siebie ten kolor, mający tak mało wyrazu, jak on sam, wszystko na nim było jakieś blade i zamazane. Żonę swoją podziwiał, lecz bał jej się zarazem. Codziennie dawała mu uczuć, jak się poniżyła, wychodząc za nieszlachcica, i zapomniała o tem, że nie mając ani grosza posagu, stała się bardzo bogatą kobietą. Pan Dulaurens pysznił się arystokratyczną żoną, mającą wielki wpływ na jego zdania polityczne i przekonanie religijne. Cały jego szacunek dla szlachty koncentrował się w tej pięknej kobiecie o twarzy dumnej i energicznej, której każdy ruch, każde spojrzenie już było rozkazem.

Alicya była ostatnią, która wysiadła z powozu. Miała na sobie śliczną suknię jasnoniebieską, barwy morza w blaskach porannego słońca, a kolor ten uwydatniał znakomicie miękką piękność jej białej twarzyczki. Młoda dziewczyna poruszała się z wdziękiem, właściwym kobietom słabym, potrzebującym zawsze jakiejś opieki, i to lekkie zmęczenie i pewna niedbałość dodawały jej niezmiernie wiele uroku. Marceli patrzał na nią z niekłamanym zachwytem. Na pochlebstwa państwa Dulaurens odpowiadał niechętnie, jego skromność wrodzona i honor wojskowy nie znosiły czczych frazesów i komplementów. (C. d. n.)

LUDWIK STEVENSON.

Wyspa skarbów.

16 Przekład z angielskiego.

(Ciąg dalszy).

— A ja myślałem, że wy znacie statut! — odpowiedział Silver pogardliwie. — Lecz za to ja go znam — i wiedzcie, że jestem jeszcze waszym kapitanem i dopóki mi nie objawicie wszystkich waszych pretensyi, a ja nie odpowiem na nie, wasza czarna marka nie warta funta kłaków. Potem, zobaczymy.

— O! — odrzucił Jerzy — nie bój się. My wiemy, co mówimy. Po pierwsze: Zmarnowałeś całą naszą wyprawę, będziesz miał czelne czoło, jeżeli ośmielisz się temu zaprzeczyć! Powtóre, wypuściłeś nieprzyjaciela z tej oto pułapki, licho wie po co. Dlaczego oni chcieli wyjść nie wiem, ale widocznie było im to potrzebne. Po trzecie: nie pozwoliłeś nam napaść na nich z tyłu, gdy odchodzili. O! Johnie Silver, przenikamy cię na wskroś! Chciałbyś siedzieć na dwóch stołkach, ot, co jest! A po czwarte wreszcie — oto ten chłopiec.

— To wszystko? — zapytał spokojnie Silver.

— Dosyć, chyba — odciął Jerzy. — Wszyscy będziemy wisieć, dzięki twemu partactwu!

— Dobrze, a teraz wy słuchajcie, a ja odpowiem na wasze zarzuty, odpowiem na wszystkie, po kolei.

— To ja zepsułem wyprawę? Co? A czyż nie pamiętacie, jaki był mój plan? Sami widzicie, że gdyby on został wykonany, siedzielibyśmy wszyscy tej nocy na pokładzie „Hispanioli“, wszyscy żywi i syci i spokojni i skarb byłby w naszem posiadaniu, u pioruna! Kto mi pokrzyżował szyki? Kto zmusił mnie, prawowitego kapitana, do zaniechania mego planu? Kto wsunął mi w rękę czarną markę pierwszego dnia, gdyśmy wylądowali i pierwszy rozpoczął cały ten taniec? Ładny taniec, nie ma co mówić, byle się tylko nie skończył na linie stracenia w stołecznem mieście Londynie. A kto to uczynił? Kto, jeżeli nie Anderson i Hands i ty, Jerzy Merry! Ty sam już tylko pozostałeś z całej tej wścibskiej trójki i śmiesz jeszcze skakać mi do oczu, ty, coś nas wszystkich pogrążył w zgubę. Nie, u pioruna! To trochę za wiele!

Silver umilkł, lecz widziałem po twarzy Jerzego i jego towarzyszy, iż słowa Silvera nie przeszły bez wrażenia.

— To, co do pierwszej waszej pretensyi — krzyczał dalej oskarżony, ocierając pot z czoła, gdy mówił tak głośno i z taką siłą, że ściany drżały. — Nie, na honor! szkoda moich słów dla was! Pamięć macie krótką, a rozum jeszcze krótszy, i dziwię się doprawdy, jak wasze matki mogły was puścić na morze! Wy marynarze! Wy rycerze losu! Chyba krawcy!

— Daj pokój, John — rzekł Morgan.

— Odpowiadaj na resztę.

— A! na resztę! — odrzucił John, — zabawne są wasze zarzuty, ani słowa. Mówicie, że sprawa zepsuta. Ach, i jak jeszcze! Drżę po prostu na myśl o losie, jaki nas czeka! Widywaliście może biednych wisielców w kajdanach, ptactwo krąży ponad nimi, żeglarze litują się, mijając ich z prądem. — „Któż to taki?“ — pyta jeden. — „Ach, to John Silver. Znałem go niegdyś dobrze“ — odpowie drugi. A kajdany brzęczą głucho za wami, gdy płyniecie dalej, unoszeni nową falą.

Oto, do czegośmy doszli wszyscy, jak tu stoimy, dzięki jemu i Handsowi i Andersonowi i podobnym im głupcom z pośród was. A teraz, jeżeli chcecie wiedzieć, dlaczego oszczędziłem tego chłopca! u licha! Przecież to zakładnik! Czy mamy stracić zakładnika! Jakto! Wszak on jest naszą ostatnią deską ocalenia. Aż mi dziw, że tak prostej rzeczy nie rozumiecie! Zabić tego chłopca? Za nic w świecie! Tyle punkt czwarty. A punkt trzeci? O, dużoby się dało powiedzieć na punkt trzeci! A może to sobie liczycie za nic, że macie prawdziwego doktora, doktora z kolegium, który przychodzi codzień odwiedzać was i leczyć — ciebie, Johnie, z połupaną głową — i ciebie Jerzy Merry, który, niema jeszcze sześciu godzin, gdy trząsłeś się, jak osika, w paroksyzmie febry, a twarz masz żółtą, jak cytryna! A może nie wiecie, że ku wyspie płynie drugi okręt? i że niebawem tu się zjawi? A wtedy, czy zakładnik będzie zbyteczny? A co do punktu drugiego, dlaczego zawarłem układ, jakto! czyż nie błagaliście mnie o to sami na klęczkach?! Na kolanach czołgaliście się u moich nóg wy, podli tchórze! i bylibyście zdechli, jak psy, gdybym się nie był zlitował! Ale to, to bagatela! Chcecie wiedzieć, dlaczego zawarłem ten układ?... Patrzcie, oto dlaczego!

I rzucił na podłogę papier, który poznałem natychmiast. Była to bowiem ni mniej, ni więcej tylko żółta mapa z trzema czerwonymi krzyżykami, którą znalazłem niegdyś w ceratowej paczce na dnie skrzyni kapitana. Nie mogłem tylko w żaden sposób zrozumieć, dlaczego doktor ją oddał.

Ale jeżeli stanowiło to dla mnie nierozwiązalną zagadkę, to buntownicy również nie śmieli wierzyć własnym oczom. Rzucili się na mapę, jak koty na mysz. Jeden drugiemu wydzierał ją z rąk. Cieszyli się przy tem, klęli, krzyczeli i śmieli, jak dzieci, z minami tak rozradowanemi, iż możnaby sądzić, że dotykają już złota palcami i płyną z niem po morzu spokojni i bezpieczni.

— Tak — rzekł jeden. — To jest mapa Flinta, niezawodnie. A oto jego podpis: J. F. i zakręt. On tak się zawsze podpisywał.

— Bardzo pięknie — odezwał się Jerzy. — Ale na czemże my ten skarb wywieziemy? Nie mamy okrętu.

Silver poskoczył ku niemu, jak tygrys, opierając się ręką o ścianę:

— Ostrzegam cię po raz ostatni, Jerzy! — krzyknął. — Jeszcze słówko, a staniesz mi do rozprawy! Na czem? A skąd ja mam wiedzieć ? To ciebie powinienem się o to zapytać, ciebie i was wszystkich, gromadę idyotów, coście zaprzepaścili mój statek waszem wścibstwem, niech was piorun spali! Ale ty mi pewnie nic mądrego nie powiesz. Dowcipem nie grzeszysz, darmo! Naucz się więc przynajmniej mówić grzecznie, rozumiesz?!

— To prawda — przytwierdził stary majtek Morgan.

— Pewnie, że prawda! — zawołał ex-kucharz okrętowy. — Ty straciłeś okręt, ja znalazłem skarb. Który z nas lepszy?... A teraz, składam moje kapitaństwo, do pioruna! Obierajcie sobie kogo chcecie kapitanem i bierz was licho! Ja już mam dosyć!

— Silver! — wrzasnęli. — Silvera chcemy! Silver naszym kapitanem! Niech żyje! Hurra!!

— A! teraz tak śpiewacie? — krzyknął kucharz. — Jerzy, cóż robić, musisz czekać innej kolei, przyjacielu i szczęście twoje, że ja nie jestem mściwy. Ale to nie leżało nigdy w moim charakterze. A teraz, towarzysze, czarna marka na nic? Dick zgubił swoją duszę i zepsuł Biblię, ot, cały rezultat.

— Ale książka przyda się jeszcze, gdy trzeba będzie na nią przysięgać, co? — mruknął Dick, widocznie zaniepokojony klątwą, jaką ściągnął na siebie swoim czynem.

— Na biblii porozrywanej?! — odparł Silver drwiąco. — A cóżby to była za przysięga? Ta Biblia nie warta starego śpiewnika!

— Doprawdy? — zawołał Dick, jakby z odcieniem radości. — No, ale ja mimo to zachowam sobie książkę.

— Masz, Jim, chcesz? obejrz to sobie! — zawołał Silver, rzucając mi papier.

Był to mały krążek papierowy wielkości srebrnej korony. Jedna strona była czysta, gdyż wydarto ostatnią kartkę książki. Druga zawierała kilka wierszy z księgi Objawień św. Jana z temi słowami, które uderzyły silnie moją wyobraźnią: „Na dworze psy i mężobójce.“ Strona zadrukowana została uczerniona węglem, który już się ścierał i powalał mi palce . Na czystej wypisany był, również węglem, tylko jeden wyraz „usunięty.“

Mam tę ciekawą markę do dziś dnia, ale nie zachował się na niej ślad pisma, oprócz jednego rysu, jak gdyby go zrobiono paznogciem.

Tak się skończyła ta sprawa. Każdy wypił po kubku wódki i poszliśmy spać. Cała zemsta Silvera organiczyła się na tem, że postawił Jerzego Merry na warcie, grożąc mu śmiercią, gdyby nie był czujny.

Przez długi czas nie mogłem zamknąć oczu. Bóg mi świadkiem, że myślałem z żalem o człowieku, którego zamordowałem wczoraj, co prawda przyciśnięty ciężką koniecznością w obronie mego życia. Lecz przedewszystkiem myśli moje pochłaniała niebezpieczna gra Johna Silvera, który jedną ręką trzymał za kark buntowników, a drugą chwytał się wszelkich możliwych i niemożliwych środków, aby zapewnić sobie przebaczenie i ocalić swe mizerne życie. On zaś spał smacznie, chrapiąc głośno. Wszakże — pomimo całej przewrotności tego człowieka, serce moje ściskało się boleśnie na myśl o groźnych niebezpieczeństwach, które go otaczały i oczekującej go w końcu haniebnej szubienicy.

ROZDZIAŁ XXI.

Na słowo.

Nazajutrz rano obudził mnie a raczej obudził nas wszystkich (gdyż widziałem, jak nawet śpiący u drzwi szyldwach zerwał się na równe nogi przerażony), dźwięczny, męski głos, wołający od lasu:

— Hej wy tam w blokhauzie! Doktor idzie!

Istotnie był to doktor. Jakkolwiek ucieszyłem się mocno, słysząc jego głos, radość moja nie była zupełnie czysta. Wspomniałem ze wstydem moje niesforne i zagadkowe postępowanie, a widząc, dokąd mnie ono doprowadziło i jakimi towarzyszami i niebezpieczeństwami byłem otoczony, nie śmiałem spojrzeć doktorowi w oczy.

Musiał wstać bardzo wcześnie, bo dzień ledwie świtał. Pobiegłem do strzelnicy i zobaczyłem go, jak niegdyś Silvera, brodzącego niemal po kolana w nizkich, pełzających po ziemi, oparach.

— To pan, doktorze! Dzień dobry, panu! — zawołał Silver, zrywając się ze snu w jak najlepszym humorze. — Ranny z pana ptaszek, ani słowa. Ale kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje, jak mówi przysłowie... Jerzy, rusz no się chłopcze i pomóż panu doktorowi wejść na wzgórze. Wszystko w porządku, doktorze. Wszyscy twoi pacyenci zdrowi i weseli.

Tak gawędził, stojąc w progu blokhauzu ,z kulą pod pachą, trzymając się jedną ręką ściany, zupełnie dawny John z głosu, miny i postawy.

— Mamy niespodziankę dla pana, doktorze — ciągnął dalej. — Tak, mamy gościa. Che! che! che! Nowy lokator, panie i nowy stołownik, a świeży i rumiany, jak róża. Spał całą noc, jak bobak, tuż przy boku Johna, sir.

Doktor Livesey wszedł już na wzgórze i zbliżył się do Silvera. Słyszałem, jak zapytał zmienionym głosem:

— Czy nie Jim?

— On sam we własnej osobie — odpowiedział Silver.

Doktor zatrzymał się nagle, jak gdyby nie miał siły iść dalej, ale nie rzekł nic.

— Dobrze, dobrze — odezwał się wreszcie — ale obowiązek przed przyjemnością, jakbyś sam powiedział, Silver. No, pokaż-że mi swoich pacyentów!

Mówiąc to, doktor Livesey wszedł do blokhauzu i kiwnąwszy mi posępnie głową, zajął się chorymi. Nie okazywał najmniejszej obawy, choć musiał wiedzieć zapewne, że jego życie pomiędzy tymi zdradzieckimi djabłami wisi na włosku. Gawędził ze swymi pacyentami tak swobodnie, jak gdyby się znajdował ze zwykłą wizytą lekarską u jakiej spokojnej angielskiej rodziny. Jego obejście oddziaływało prawdopodobnie na korsarzy, bo zachowywali się wobec niego, jak gdyby nic nie zaszło, jakby on był zawsze doktorem okrętowym, a oni przykładnymi i wiernymi majtkami.

— No, nic ci nie grozi, przyjacielu — rzekł do draba z obandażowaną głową. — Ale byłeś o mały włos od śmierci. Musisz mieć żelazną głowę. A ty, Jerzy? jak się masz? Hm! Wyglądasz nieświetnie i wątroba nie w porządku. Czy zażywałeś to lekarstwo? Czy zażywali to lekarstwo, ludzie?

— Tak, panie, — zażywał — odpowiedział Morgan.

— Bo widzicie, jeżeli jestem już lekarzem buntowników, a raczej lekarzem więźni, jak wolę — rzekł doktor Livesey żartobliwie — uważam sobie za punkt honoru, aby żaden z was nie wymknął się od szubienicy.

Łotry spojrzeli po sobie, lecz połknęli tę pigułkę w milczeniu.

— Dick czuje się źle, sir — odezwał się któryś.

— Dick? — powtórzył doktor. — No, chodź tu, Dick i pokaż mi język. Pewnie, że trudno być zdrowym z takim szkaradnym językiem! Nowy przypadek febry.

— Oto, co znaczy zepsuć Biblię — zauważył Morgan.

(Ciąg dalszy nastąpi).